Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, 23. czerwca 1946 r. | Nr. 19 (30)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego 02015

Paweł Jasienica

Przebudowa i pięść

Któregoś tam roku wojennego przeglądałem dział nekrologów w niemieckiej gazecie. Rzuciło mi się podówczas w oczy i utkwiło w pamięci pewne ogłoszenie, zaopatrzone — jak zresztą zwykle — znakiem Żelaznego Krzyża: „Dnia... zginął na froncie wschodnim śmiercią bohatera (Heldentodt) generał major von R. W ten sposób zakończył on życie, które, podobnie jak i żywot jego ojca i dziada, poświęcone było żołnierskiej służbie dla Niemiec".

A więc żołnierz w trzecim pokoleniu. Ten krótki nekrolog wiele wyjaśnia. Mówi on coś niecoś o źródłach zwartości i sprawności niemieckiego korpusu oficerskiego. Można bowiem bez przesady twierdzić, że ów poległy generał von R. był w duchu żołnierzem, zanim jeszcze przyjęto do korpusu kadetów. I jeszcze jeden wniosek: zjawiska militaryzmu pruskiego niepodobna zrozumieć bez rozpatrzenia się w domowych, rodzinnych tradycjach jego przedstawicieli. Formacja psychiczna, zwana junkierstwem pruskim, nie może być zbadana bez zastosowania tej metody.

PEWIEN STARSZY PAN

Melchior Wańkowicz w książce swej „Na tropach Smętka" wyraziście opisał, jak to co roku — w okresie międzywojennym — pod koniec sierpnia okolice Tannenberga w Prusach Wschodnich odwiedzał pewien starszy pan. Był on ubrany po cywilnemu, dość wysoki i gruby. Jego wielką, obwisłą w starczych fałdach twarz ozdabiały siwe wąsy. Ostrzyżone „na jeża" siwe włosy jeszcze bardziej upadabniały tę wielką głowę do sześciennej bryły. Pan ten chodził sobie po polach, rozglądał się, po czym nieodmiennie wstępował do pobliskiego zajazdu, gdzie spożywał zawsze jedną i tę samą potrawę. Okoliczni niemcy z szacunkiem, z uwielbieniem wprost, patrzyli na tę ciężkawą postać. To generał - feldmarszałek Paul von Beneckendorff und von Hindenburg odwiedzał „pole chwały swojej", miejsce, na którym pod koniec sierpnia 1914 r. wygrał wielką bitwę, pokonał jednego carskiego generała, a drugiego zmusił do odwrotu i ocalił Prusy Wschodnie.

Hindenburg umarł w sierpniu 1934 roku (ciekawy zbieg okoliczności: szereg szczególnie ważnych w jego życiu zdarzeń przypada na sierpień), jako prezydent Rzeszy niemieckiej. Objął to stanowisko — poparty przez prawicę — w roku 1925. W siedem lat później stanął do generalnej rozgrywki z Hitlerem. W głosowaniu powszechnym, dzięki poparciu socjalistów i centrum, uzyskał 19.5 miliona głosów, pod czas gdy przyszły Fuehrer zebrał ich 13.5 miliona. Jednakże 30. 1. 1933 Hidenburg mianował Hitlera kanclerzem Rzeszy.

Wiemy dziś, że Hindenburg Hitlera osobiście nie znosił i nie rad patrzył „na tego gefreitra". W testamencie ostrzegał przed nim naród niemiecki i zalecał powrót do monarchii. I razem z tym wszystkim prawdą jest, że „gefreiter" był logicznym uzupełnieniem, koniecznym następstwem wartości, reprezentowanych przez feldmarszałka. Dokonał on też jednej z najgroźniejszych rzeczy, mianowicie zdemokratyzował militaryzm pruski. W hitlerowskich Niemczech zmalała przestrzeń, dzieląca niegdyś oficera od gemeina. To nie znaczy, że kasta oficerska utraciła coś ze swych dawnych cech. Odwrotnie — szeregowiec został „podciągnięty wzwyż", znalazł się w atmosferze, otaczającej dawniej tylko dowództwo.

Pełnią tej atmosfery oddychamy, czytając wydane w roku 1920 pamiętniki Hindenburga **„Aus meinem Leben"**. Dzieło to powstało w dobie klęski, „ku pokrzepieniu serc" i ku nauce młodzieży. Prof. Marian Zdziechowski utrzymywał, że na książce tej można by napisać zamiast motta: „oto — jak należy kochać niemiecką ojczyznę". Prawda to niewątpliwa. Cóż powiedzieć o scence, która się rozegrała przed historycznym „oknem narożnym" pałacu Wilhelma 1, oknem, obok którego stary cesarz zasiadał do pracy, być dać poddanym dobr yprzykład obowiązkowości i pracowitości? Zbierał się tam często wiwatujący na cześć władcy tłumek. Razu pewnego major, czy pułkownik, Hindenburg stojąc przed tym oknem podniósł w górę swego ynka. „Nie zapomnij tej chwili nigdy, przez całe życie — szeptał mu do ucha — a wtedy zawsze będziesz postępować uczciwie." Nic dziwnego, że z biegiem czasu, w zmienionych warunkach dziejowych miara uczciwości przeniosła się z cesarza, którego nie stało, na Fuehrera.

Dydaktyka swoją drogą — pełno jej w tym pamiętniku. Ale też nie znam książki, z której by równie wyraziście wyzierała żołnierska i pruska dusza autora. Jakże by zresztą mogło być inaczej? Przestudiowałem ów tom dość dokładnie i ogarnęły mię wątpliwości, czy zdarzyło się kiedy, żeby jaki męski przedstawiciel rodu Hindenburgów zajmował się czym innym niż służbą w wojsku.

Chwilka genealogii: ojciec — porucznik 18 pułku piechoty. Matka (z domu Schwickart) — córka generała - lekarza wojskowego, odznaczonego w roku 1813 Żelaznym Krzyżem „a m K o m b a t t a n t e n b a n d e" za bitwę pod Kulm. Dziad służył w pułku „v o n L a n g e n n", pradziad w regimencie „v o n T e t t e n b e r g", prapradziad (ten, który połączył w jedno nazwiska Beneckendorff i Hindenburg) był pułkownikiem za Fryderyka Wielkiego. Brat feldmarszałka — oficer. Szyn — oficer sztabu generalnego. Obaj zięciowie równie żwalczyli na froncie — widoczenie jednak byli oni tylko oficerami rezerwy, gdyż służbę ich określają skromne słowa: „także stali w obliczu wroga". Nawet ogrodnik babki (n. b. mającej wiele ciekawego do opowiadania o czasach napoleońskich, przeżytych przez nią w Poznaniu) i ten chodził w glorii. Pierwsze bowiem dwa tygodnie jego służby wojskowej upłynęły jeszcze za panowania Fryderyka II. Żołnierz Wielkiego Fryca! Wystarczający tytuł do chwały na całe życie. Wszystkie powyższe i inne jeszcze szczegóły tradycji militarnej rodu notuje autor pamiętnika bardzo skrupulatnie.

Przyszły generał - feldmarszałek przesłużył pod pruskim sztandarem lat 46 i w sierpniu 1914 roku znowu do służby powrócił. Bił się on w roku 1866 pod Sadową, w roku 1870 (w sierpniu!) pod. St. Privat, widział z daleka pod Sedanem kłąb kurzu unoszący się za szwadronem czarnych huzarów, eskortującym karetę z jeńcem wojennym, Cesarzem Francuzów — Napoleonem III. Oblegał i oglądał pokonany Paryż, o czym pisez w te słowa: „Wierzę, że krzyżowcy z podobnym uczuciem patrzyli na Jerozolimę, jak my na leżący u stóp naszych Paryż". Asystował w Wersalu przy proklamowaniu Cesarstwa Niemieckiego.

Jego kariera wojskowa mierzona była — jak zawsze w życiu zawodowego oficera — etapami awansów, odznaczeń, przeniesień do innych garnizonów i do sztabu. Ale miarą innej, moralnej kategorii były mu kolejne, odbyte i dopiero wymarzone, zwycięskie defilady w Berlinie. W pierwszej uczestniczył w roku 1866. Wtedy to zdarzył się wypadek drobny, ale na zawsze zapamiętany, niczym symbol. Kiedy pułk jego — trzeci gwardii pieszej — szykował się na Floraplatz do wymarszu, pułkownik wręczył mu order Czerwonego Orła z Mieczami, polecając przypiąć go natychmiast, gdyż wydano rozkaz, że podczas defilady należy mieć wszystkie nowe odznaczenia. Młodziutki „s e c o n d e - l e u t e n a n t" Hindenburg rozglądał się bezradnie, nie wiedząc, czymby tu order przytwierdzić. Wtedy z tłumu wyszła jakaś starsza pani i przypięła mu orła własną szpilką. Ilekroć później stary feldmarszałek przechodził przez Floraplatz, zawsze wspomniał tę scenę z rozrzewnieniem. Czuł się pewnie tak, jakby został udekorowany przez naród.

Po raz drugi przeciągał Hindenburg tryumfalnie pod Bramą Brandenburską w roku 1871 — po zdruzgotaniu Francji. — Trzecia — „wymarzona nie dla siebie lecz dla cesarza i ojczyzny" zwycięska defilada w Berlinie nie nastąpiła — stwierdza z żalem.

Przed wybuchem pierwszej Wojny Światowej przesłużył Hindenburg, jak już wspomniałem, lat 45 i doszedł do rangi generała. Początkowe awanse przychodziły mu zdumiewajaco powoli. Podporucznikiem został w roku 1866, kapitanem zaś w roku 1878. W międzyczasie odbył dwie kampanie wojenne, które przyniosły mu lekką ranę i szereg wysokich odznaczeń bojowych. Na majora awansował w roku 1885 i odtąd szło mu już nieco szybciej. Jego wyjście na emeryturę, w roku 1911, było żywo komentowane. Mówiono o konflikcie z cesarzem, o tym, że stary generał pozwolił sobie na nietakt pokonania Jego Cesarskiej Mości na manewrach. Hindenburg wszystkiemu temu kategorycznie zaprzecza. Nie podnosi żadnej skargi, nie ma do nikogo żalu. A przecież cesarz nie dzierżył już władzy, był na wygnaniu. Trzeba przyznać feldmarszałkowi, że umiał postępować po żołniersku.

OKOLICZNOŚCI WARUNKUJĄCE

Naszkicowana powyżej sylwetka stuprocentowego żołnierza mogłaby raczej przychylnie uspasabiać. Zwłaszcza zaś nas, Polaków, tradycyjnie umiejących cenić walory wojskowe. Nie darmo nasz naj-

Perspektywa Odry

O ile na Opolszczyźnie sprawa weryfikacji ludności miejscowej rozwiązana została na ogół sprawiedliwie, to w żadnym niestety wypadku nie da się tego powiedzieć o obszarach mazurskich. Cytujemy za serwisem ZAP-u:

„E ł k. Sprawa weryfikacji ludności autochtonicznej, która zamieszkuje na terenie trzech powiatów wschodnich Pomorza Wschodniego, a które to powiaty wchodzą obecnie w skład woj. białostockiego, nie posunęła się ani na krok naprzód. Brak komunikacji z Białymstokiem i brak organizacyj społecznych stwarza, że losem Mazurów absolutnie nikt się (poza szabrownikami) nie zajmuje. Niedostateczna kontrola ze strony władz jest również powodem, że na terenie tych powiatów osiedlają się nacjonaliści litewscy, którzy wobec Polaków nie jeden grzech mają na sumieniu".

Niezałatwienie tej ważnej i dla Ziem Odzyskanych z ludnością autochtoniczną pierwszoplanowej sprawy uważamy za zbrodnię wobec polskości tych ziem. Półtora roku takiego stanu, w którym ludność miejscowa poddana jest wszelkiemu zorganizowanemu i niezorganizowanemu prywatnemu gwałtowi, potrafiło w niej zabić nie tylko nikłą iskierkę ale i cały płomień polskości. U podstaw odszczepieństwa narodowego stoją nie tylko złe cechy charakteru lub wyższość materialna wroga ale i k r z y w d a, doznana od własnych braci. Jak sobie wyobrażają obraz Polski w duszach tych ludzi ci wszyscy, którzy za ten stan są odpowiedzialni?

Obraz Polski w duszy Mazura nie ma jasnych kolorów. Te nikłe słoneczne plamki pochodzą z czasów, kiedy na Polskę patrzało się poprzez melodię z kancjonału i stronice „Gazety Olsztyńskiej". Wojna w dodatku zatarła wiele z tej dobrej pamięci.

Wołamy o bezwzględnie jak najszybsze przeprowadzenie weryfikacji ludności mazurskiej i oddzielenie od polskiego mazurskiego pnia narośli niemieckich! Wołamy o serdeczniejsze zajęcie się losem, życiem i przyszłością Mazurów ze strony czynników urzędowych centralnych! Domagamy się rychłej i ostrej weryfikacji pod względem etyczno - narodowym ludności napływowej na Mazurach. Tylko wtedy opuści te strony Smętek, którego od pewnego czasu tak nie lubią publicyści spod znaku „byczo jest".

Bandura Jerzy: Projekt pomnika powstańca śląskiego (wyróżniona praca konkursowa). Foto Kubicki, Katowice.

Dm 51/052

wyższy — i jeden z najpiękniejszych w świecie — order wojenny zwie się Virtuti Militari. Możemy raczej żałować, że u nas warunki historyczne przerwały tradycję i unicestwiły ten typ żołnierza, który rodowód swój wywodzi z wojsk Kościuszki i rozkwita w armii Księstwa Warszawskiego.

Inne narody, nie tylko Niemcy, były pod tym względem znacznie od nas szczęśliwsze. Wiadomo np., że w takiej Francji znajdowało się przed wojną około 30.000 rodzin, stale zasilających swymi synami korpus oficerski. Były generał — dziś znowu pułkownik — de Gaulle jest też „dziedzicznym" wojskowym. W takich okolicznościach rozkwitają w pełni wszystkie zalety i wady tego stanu. Oto obrazek. Marszałek Lyautey uniósł się kiedyś i czynnie znieważył przed frontem oficera. Ten wyszarpnął z kabury pistolet — chciał strzelać — maszyna zacięła się. Marszałek patrzył na to spokojnie. „Dwa dni aresztu za niedbałe utrzymywanie broni" — rzekł w końcu, zawrócił konia i odjechał.

Armia carskiej Rosji miała też pierwszo rzędny, lecz słynny ze srogości korpus oficerski. Tam nie raziły nawet słowa rozkazu generała Rennenkampfa: „Sąd wojenny zbierze się o trzeciej, wyrok wykonany będzie o piątej". Inny znowu generał oddał jedynaka do korpusu kadetów i przyszedł, wraz z żoną i adiutantem, na dworzec, by powitać przyjeżdżającego na pierwszy urlop. Chłopak wyskoczył z wagonu, przywitał się z matką i podbiegł do ojca. Generał odwrócił się doń plecami i rzekł do adiutanta: „Wziąć go na odwach, zamknąć na cały czas urlopu, a po tym znowu do korpusu". Kadet bowiem musiał się najpierw zameldować generałowi, a dopiero po tym witać z ojcem.

Nie tylko więc Niemcy miały i mają u siebie kastę wojskową, różniącą się psychicznie od reszty narodu. A jednak żadne inne państwo nie wytworzyło nigdy klęski publicznej w stylu pruskiego militaryzmu. Wytłumaczenia tego faktu poszukiwać znowu można w genealogii i kolejach życia przypadku klinicznego: Hindenburg.

Ród feldmarszałka (właściwie nazwisko: Beneckendorff; Hindenburg przyłączone zostało później wskutek cesyj majątkowych i układów familijnych), pochodzący ze Starej Marchii, został po raz pierwszy wymieniony w kronikach w roku 1280. Odtąd członkowie jego wyciągają ze swych domowych pieleszy „dem Zuge der Zeit folgend" na wschód, do Prus, gdzie w przeciągu stuleci wielu jego przed stawicieli walczy, jako krzyżaccy bracia zakonni, lub „goście rycerscy" — „gegen die Heiden und Polen".

Paul von Hindenburg urodził się w r. 1847 w Poznaniu. Przy tej okazji warto wspomnieć o charakterystycznej historyjce. W roku 1848, w czasie „Wiosny Ludów", Poznań znalazł się w ręku polskich powstańców. Nakazano iluminację miasta ku czci wypuszczonego niedawno z Moabitu Ludwika Mierosławskiego. Frau Hindenburg, geborenen Schwickart, była podówczas osamotniona. Mąż działał w polu przeciw tym samym Polakom. Cóż było począć? Zapaliła świeczki we frontowych oknach i kołysząc synka — przyszłego generał - feldmarszałka i organizatora „Grenzschutz Ost przeciw Polsce — pocieszała się myślą, że na ten sam dzień przypada Geburtstag pruskiego następcy tronu i, że to ku jego tajnej czci palą się owe świece. Jakoż synek umeijący się maskować mamusi doczekał się chwili, w której asystował w Wersalu okrzyknięciu tegoż następcy tronu Cesarzem Niemiec.

Młody Hindenburg mieszkał z rodzicami w Poznaniu, Grudziądzu, Głogowie, korpus kadetów ukończył w Wahlstatt na Śląsku, później służył w garnizonie w poznańskim. Miał majątek „Neudeck" w powiecie Susz (Rosenberg) w Prusach Wschodnich. Największy tryumf swego życia przeżył na polach — Grunwaldu. I dla pełności obrazu dodajmy, że laskę generał-feldmarszałka otrzymał w Poznaniu, na zamku i — z rąk Polaka, hrabiego Bogdana Hutten-Czapskiego, który swój polski patriotyzm potrafił łączyć ze szczerym germanofilstwem. Jako honorowego burgrabiego poznańskiego zamku, zaszczycił go Wilhelm II misją wręczenia laski marszałkowskiej.

Tak więc najczystszy, krystaliczny okaz niemczyzny urodził się, wzrastał, formował psychicznie i zbierał laury na ziemi, która nie była ziemią niemiecką. Prowadził wojska do boju na terenach polskich, czeskich, francuskich, ale nie na niemieckich. To są właśnie okoliczności warunkujące różnicę, jaka zachodzi pomiędzy pruskim junkierstwem, a wszelkimi kastami militarnymi pozostałych państw Europy. Półfeudalny ustrój Prus znaczy tu też wiele, ale bynajmniej nie wszystko. Faktem głównym jest to, że kasta junkrów od szeregu pokoleń, od setek lat wzrastała w warunkach nienormalnych, szkolona była na permanentnych okupantów. Dopóki niemcy rozwijały się równo, bez załamań, zaborcza ich treść pozostawała jeszcze ujęta w ramy ogólnoeuropejskiej obyczajowości. Po klęsce w 1918 r., po utracie Poznania i Grudziądza, czyli po przyłożeniu ostrza siekiery do samego pnia junkierstwa, musiały się zmienić formy walki. Przyszło jej całkowite zbrutalizowanie. Opanowanego generał - feldmarszałka zastąpił prostacki gefreiter.

KTO TO ROZUMIAŁ

Rejestrujemy wciąż nowe argumenty na poparcie tezy, głoszącej, że Anglicy w żaden sposób nie potrafią zrozumieć problemu niemieckiego. Istnieją po temu specjalne warunki i przyczyny. Brytyjczycy także panują na obcych ziemiach, ale czynią to w sposób odmienny od niemieckiego. Któryś z angielskich mężów stanu, zdaje się, że był to Curzon, napisaną przez siebie książkę zadedykował: „Tym wszystkim, którzy wierzą, że Bóg powołał Imperium Brytyjskie do celów szczególnych". Charakterystyczną cechą tego Imperium jest stopniowe dojrzewanie poszczególnych jego części do roli dominiów, t. zn. organizmów politycznych odgrywających rolę samoistną, co bynajmniej nie łączy się z degradacją nieangielskiego elementu. Przykładem takiego właśnie stanu rzeczy jest chociażby Kanada, gdzie Francuzi ongiś pokonani dawni władcy tej krainy — wcale nie są helotami. Przynależność do Korony Brytyjskiej nie oznacza niewoli, lecz stopniowe stapianie się nacyj lokalnych i angielszczyzny w całość swoistą i doskonale służącą interesom imperialnym. W literaturze znalazło to wszystko najpełniejszy wyraz w dziełach Kiplinga. Tego rodzaju dyspozycje psychiczne oraz brak bezpośredniego z Niemcami kontaktu powodują częściowo owe — istotnie godne pożałowania — błędy angielskie wobec Rzeszy.

Ale nie miejmy zbytnich pretensyj do Anglików skoro my sami — strona najbardziej zainteresowana — w niedalekiej przeszłości też popełnialiśmy grube omyłki. Jedni u nas dali się zwieść humorystycznej niemieckiej rewolucji i zmianie ustroju, zapominając, że dla nas Niemcy cesarskie, czy socjalistyczne, białe, zielone, czerwone, albo w kratkę — zawsze pozostaną Niemcami. Inni uwierzyli w protokół dyplomatyczny, jeszcze inni lansowali oryginalną tezę o odprusaczeniu Niemiec przez Austriaka Hitlera, kiedy w rzeczywistości było akurat odwrotnie. Problem niemiecki rozumieli u nas zawsze Dmowski, Korfanty i — niewielu pozatem.

Czy był w ogóle w Europie człowiek, który nie tylko oceniał należycie pruski militaryzm, ale znał też metody lecznicze? Owszem — był jeden taki. Niech go przedstawią fakty.

7. listopada 1918 roku niemiecką kwaterę główną w Spa opuszczali pełnomocnicy, mający prosić aliantów o zawieszenie broni. Hindenburg pożegnał ich słowami: „Jedźcie z Bogiem i starajcie się przywieść, co tylko najlepsze dla naszej ojczyzny". Inny zaś sztabowiec przezornie dorzucił: „Każdy dzień zwłoki kosztuje nas 10.000 ludzi". Oznajmiona przez trębaczy komisja minęła linię okopów i 8-go rano stawiła się w historycznym lasku Compiegne, w wagonie dowódcy Wojsk Sprzymierzonych.

Opisujący te sprawy niemiec gorzko żali się na jedno. Oto w sztabie aliantów wszyscy — z jednym jedynym wyjątkiem — byli bardzo uprzejmi. Gen. Weygand „in seiner Haltung sehr e.l.e.g.a.n.t" starał się w niczym nie urazić pokonanych. Angielscy oficerowie floty grzecznie rozprawiali ze swym niemieckim „kolegą", kpt. von Vanselow. Tylko jeden człowiek był szorstki, źle wychowany — po prostu brutalny. Niestety był nim ten najważniejszy, sam dowódca sił sprzymierzonych, Marszałek Francji, Foch.

Po chłodnym przywitaniu zwrócił się on od razu do tłumacza: „Proszę zapytać tych panów czego sobie życzą".

„Przybyliśmy tutaj, aby otrzymać wnioski Sprzymierzonych, dotyczące zawieszenia broni na morzach, lądzie i w powietrzu — brzmiała odpowiedź.

Na te słowa Foch zrobił zdecydowany zwrot ku wyjściu: „Proszę odpowiedzieć tym panom, że nie mam im wniosków do przedłożenia" — rzucił.

W tej chwili jeden z niemców, hrabia Oberndorff, przypomniał sobie widać tych 10.000 żołnierzy niemieckich, padających co dzień na froncie. Zerwał się z miejsca i przychylony przez stół zaczął mówić szybko — po francusku: „Panie marszałku, chwila wydaje mi się zbyt poważna, by się spierać o słowa. Jak pan chce, żebyśmy mówili? Nam to jest zupełnie obojętne".

„To do panów należy, mówić czego chcecie".

„Jak panu marszałkowi wiadomo, jesteśmy tu na podstawie noty prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli pan pozwoli odczytam ją". Po zakończeniu lektury Oberndorff dodał: „Jeżeli dobrze rozumiem, wręczą nam tu panowie warunki zawieszenia broni".

Tym razem Foch wyglądał na zadowolonego. Jednemu ze swoich rzucił krótkie: „Dobrze jest". Niemcy przestali już wspominać o „propozycjach" i „wnioskach".

Po pewnym czasie, kiedy generałowie Weygand i von Winterfeld trwali na przydługich debatach, nie mogąc uzgodnić szczegółów, do ich przedziału wszedł chmurny Foch. „Jeszczeście nie skończyli? — zapytał. — Jeżeli to wszystko w ciągu kwadransa nie zostanie załatwione, wrócę tutaj i zaręczam, że w pięć minut dojdziemy do ładu".

Pewien ówczesny dyplomata amerykański pisał o Fochu mniej więcej tak: „Ten krótkowzroczny generał, który codziennie klęcząc słuchał w kościele Mszy — jednocześnie żądał dalszej walki". Rzeczywistość wykazała jednak, że ten krótkowzroczny generał patrzył bardzo przenikliwie. Może właśnie dlatego, że wyznawał ustalony światopogląd, trzymał się ścisłego systemu etycznego i — był stuprocentowym żołnierzem. Moim zdaniem cywilni dyplomaci nie są zdolni do pojmowania takiej rzeczy, jak militaryzm pruski. Uczynić to mogą tylko żołnierze.

Dziś na murach Berlina, we francuskiej strefie okupacyjnej, widnieją afisze: „Francja nigdy nie zapomni Niemcom setek tysięcy jej pomordowanych obywateli". Napisy takie kazał porozwieszać generał de Beauchesne. Ten przynajmniej rozumie, jak trzeba działać. Ze wszystkich metod postępowania z Niemcami najbardziej trafia do przekonania francuska. Polega ona — jak wiadomo — na wprowadzeniu pełnej okupacji wojskowej. Nie wierzę, aby wychowywanie Niemców i przebudowa socjalna dały pożądane rezultaty, bez jednoczesnego pokazywania im pięści. Każdy naród inaczej reaguje na takie „podniety". Polaków np. można daleko zaprowadzić, byleby tylko grzecznie z nimi postępować. Pokażcie im pięść, a zaraz się postawią okoniem. Z Niemcami rzecz ma się odwrotnie. Dlatego też, na dłuższą metę, można liczyć tylko na rozwój międzynarodowej siły zbrojnej, która potrafi uniemożliwić Niemcom realizację ich słów o odwecie. No i na to także, że naród niemiecki już minął swój szczytowy punkt potęgi. Następne dziesięciolecia powinny być okresem schyłku i słabnięcia.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Powroty

Z mrocznych głębi podziemnych swój początek biorąc
nagle źródło wytryska i już szemrze strumień,
jest rzeką-lustrem słońcu i gwiezdnym wieczorom,
by w morza się pogrążyć nieustannym szumie.

A potem w skwarze lata paruje — i niebnym
już płynie oceanem obłoków armada,
by skroplić się za chwilę. I deszczem ulewnym
wraca znowu na ziemię i w mrok jej zapada.

Z jasnych głębi twych oczu biorąc swój początek
nagle myśl zakiełkuje, już rymami wzbiera.
Jest strofą, wciąż pęcznieje nabrzmiewa jej wątek,
i wchłania go ocean, słońce, atmosfera.

A potem, kiedy staną już na baczność linie,
co w karnych czworobokach myśli mojej strzegą,
uśmiech oczu twych jasnych po wierszu popłynie,
co znowu do nich wraca, do źródła swojego.

„Nigdy w historii nie spełniała Odra roli linii kompromisu zachodniej ekspansji państw prawobrzeżnych i wschodniej ekspansji państw lewobrzeżnych, który by z niej czynił rzekę graniczną. Odra nigdy nie była rzeką graniczną, bo Niemcy nigdy nie dochodzili do niej siłą swego naturalnego ciążenia... Niemcy dochodzili do Odry wyłącznie siłą swej militarnej przewagi. Toteż dotarcie do Odry nie stanowiło naturalnego powstrzymania ich dalszych wpływów...

Wobec takich wielowiekowych doświadczeń stwierdzić należy, że granica polsko-niemiecka dopiero wtedy będzie granicą, która rzeczywiści i w sposób naturalny oddzieli wpływy polskie i niemieckie, gdy znajdzie się ona w całości na lewobrzeżnym obszarze".

(Zygmunt Izdebski: Rzeka Odra, zagadnienie prawa narodów, Katowice 1946).

Tadeusz Mikulski

O szalonej poznaniance we Wrocławiu

Z pożółkłych listów, z papierów, które mają lat sto, cierpliwe ręce erudytów dobywają plotkę literacką. Mimo wieku i oddalenia zachowuje ona swą dawną świeżość i siłę, jak wówczas, gdy dotkliwie raziła współczesnych. Trzeba tylko zdmuchnąć pył ze stosu korespondencji, ocalałej po zakamarkach bibliotecznych, i rozwiązać wstążki wspomnień. Wyleci z nich plotka naszych prababek, kolorowa, skrzydlata, przywracając czasem ich woń minioną.

Julia Molińska, odważna pisarka, jest heroiną plotki poznańskiej, obiegającej żywo prowincję przed stuleciem. Plotka ma wydźwięk głęboko tragiczny, przysłania dramat prawdziwie ludzki. Tego dość, by ożywić ręce erudytów, nawykłe do szperactwa. Dramat Julii Molińskiej narusza zasadę „jedności miejsca": toczy się w Poznaniu i Wrocławiu, mając za tło oba miasta, uwikłany w przygodę malowniczą, pasje, wspaniałe, silne namiętności. Spoza plotki poczyna przezierać poświadczona przez dokumenty prawda życia, zamknięte go szaleństwa.

Julia Molińska urodziła się w Bninie, koło Śremu, 12 marca 1816 roku. Pierwsze nauki pobiera w Lesznie. Istnieje poszlaka biograficzna, że gdy brat jej Józef przenosi się do gimnazjum św. Macieja do Wrocławia — dziś jeszcze możemy patrzeć na tę późnobarokową fasadę — oddano dziewczynę do jednej z licznych w tym czasie wrocławskich pensyj żeńskich. Byłby to wczesny węzeł osobisty, wiązany z Wrocławiem już w latach szkolnych. Do Poznania powraca Molińska w r. 1839 z patentem guwernantki. Tak mówiło się wtedy: guwernantka.

I oto wokół guwernantki wybucha pierwszy skandal: Molińska w r. 1840 otwiera w Poznaniu pensję dla dziewcząt. Decyzja ta wywołuje niemałe poruszenie wśród rodziców i nauczycielek. Apolonia Motty pisze do Berlina, do syna Marcelego:

> Nic tu dobrego nie słychać, tylko jedna rzecz, którą się teraz cała prowincja zajmuje, a tą jest wielka pensja panny Molińskiej. Przecie wariują. Jakiś pan Żeromski miał do mamy jakby jutro odwieść swoją cureczkę (tak!), już się ze wszystkim ułożył, a wyszedłszy od mamy ktoś go spotkał, odradził i do panny Molińskiej zaprowadził. Pani Łubińska oddała do mamy swoją cureczkę (tak!) na parę miesięcy i ta mała chodzi do panny Molińskiej. Więc w dyktando francuskim był wyraz **s'acupler**, więc po polsku podyktowała żenić się. Ciekawam, co to dalej będzie, bo kto tę osobę miał honor widzieć, to może śmiało powiedzieć, iż ona z tych dziewcząt porobi wariatki...

Apolonia Motty ma za matkę matronę, Teklę Herwigową, która od r. 1815 prowadzi w Poznaniu pensjonat żeński. Wszystkie uszczypliwości tego listu usprawiedliwiać może jedno słówko: konkurencja! Molińska układa nowy „plan naukowy" (program nauczania), który odbiega od norm tradycyjnych. Poza tym już wtedy naraziła się po dwakroć opinii poznańskiej, nieustępliwej na punkcie moralności. Ale nie uprzedzajmy — plotki. Pensja nie powiodła się. Na zlecenie regencji, potwierdzone przez reskrypt Ministerstwa Oświaty, już w październiku 1840 r. została zamknięta. Odetchnęły wówczas Apolonia Motty i Tekla Herwigowa, wszystkie panie Latter, wszystkie panie Papuzińskie w Poznaniu. Następny list do Berlina jest już zupełnie pogodny:

> Babusia i Ciocia zdrowe, mają parę nowych pensjonarek, sam szmer, takie jak Stasia, a te z łaski panny Molińskiej...

Po czym raz jeszcze zgorszone spojrzenie w stronę Julii:

> Oj! polacy, poczciwie wam to dobre dzieci swoje w takie miejsca oddawać.

Współcześnie wybucha skandal drugi, poważniejszy. W r. 1839 poznaje Julia Molińska Antoniego Woykowskiego. Jest to redaktor „Tygodnika Literackiego" cenionego organu, który w czasopiśmiennictwie poznańskim lat czterdziestych wyróżnia się odwagą, ruchliwością wydawniczą, talentem redaktorskim. Woykowski stanowi inteligencję śmiałą, pióro sprawne, zdolności literackie i muzyczne. Wytwarza w okół siebie silne falowanie opinii, egzaltację przyjaźni i niechęci. Jego pismo skupia współpracowników śmiało i radykalnie myślących, w wachlarzu ówczesnej prasy literackiej przybiera barwę — by tak rzec — lewicową. Surowy Poznań gorszy się ideologią i środowiskiem. Woykowski usiłuje obudzić wokół siebie ruch nowy, cyganerię literacką. Roz daje podniety i pieniądze, ma hojną rękę, płaci po 3 dukaty za arkusz druku. Drażni i pociąga. Niebawem dostrzegł „guwernantkę". Na tle obyczajowości polskiej, o wiele chłodniejszej, niż na ogół sądzimy, ta gwałtowna, szalona miłość Julii Molińskiej i Antoniego Woykowskiego zaciekawia szczególnie siłą, trwałością, nawet akcentami grozy. I oto już niezadługo ta sama Apolonia Motty, pod datą 27 października 1840, może donieść synowi o Julii:

> ...już u niego (Woykowskiego) mieszka i na wiarę z nim siedzi, przecie to awantury ci ludzie robią, przy wszystkich się całują...

Mamy świadka tej gorszącej sceny: oglądał ją i opowiedział „szanowny Rymarkiewicz", dr Jan Rymarkiewicz, pedant, filolog — nie ma co taić — historyk literatury. I ten szkic plotkarski musi nam wynagrodzić nieznajomość rysów panny Molińskiej, brak współczesnej miniatury, która by ocaliła owal twarzy i kolor oczu.

Ale Julia może stanowić temat nie tylko dla Boya Żeleńskiego. Odtąd w ciągu lat kilku widzimy ją na tle salonu Woykowskich w Poznaniu, na Starym Rynku 27. Molińska ubrana zawsze na czarno (jest to stulecie żałoby narodowej), z białym, pod szyję kołnierzykiem, z czarnymi włosami, które nosi krótko ucięte, czyni honory domu w tej mieszczańskiej kamienicy. Przywdziewa czasem konfederatkę, pali cygara, siada w salonie osobliwie, po turecku. To znowu anegdota. Ale odróżniwszy pozór od prawdy, trzeba powiedzieć, że salon redakcyjny „Tygodnika Literackiego" stanowi zespół niezwykły i ciekawy. W tym środowisku cyganerii poznańskiej, radykalnej, rewolucyjnej, przewijają się przyjaciele gospodarzy, Edward Dembowski i Ryszard Berwiński. Oblicze salonu to oblicze redakcji: biwakuje tu obóz cygański, walczący. Grupa głosi hasło walki z Niemcami, z porządkiem społecznym, z duchowieństwem. Jest to dom zajezdny dla poetów, artystów, młodzieży uniwersyteckiej, która przez Poznań jedzie do Wrocławia, Berlina i indziej. Z Wrocławia np. zagląda tu raz po raz historyk August Mosbach, wierny przyjaciel w szczęściu i klęsce. Ktokolwiek z literatury Warszawy czy Krakowa przejeżdża Poznań, cygan czy pisarz osiadły, nie ominie salonu Woykowskich. Julia spełnia obowiązki towarzyskie z zapałem i ochotą. Prowadzi poza tym sekretariat redakcji oraz „finanse" pisma, już podówczas malejące. Z animuszem bojowym walczy z cenzurą niemiecką, coraz uważniejszą w lekturze, coraz trudniejszą do zmylenia. Wreszcie gromadzi archiwum redakcji, nieznane, nieodszukane już nigdy później „teczki", w których spoczywają listy współpracowników tygodnika, a wśród nich Słowackiego, Zaleskiego, Michała Czajkowskiego, autografy pieśni Moniuszki, może nawet mazurków Chopina. Rozpraszając siły w różnych kierunkach, absorbowana bardzo przez życie osobiste, znajduje dość czasu i energii, by nie ustępować w walce z opinią miasta, pomstującą coraz gwałtowniej na obyczaj cygański. Jest wreszcie od lat kilku pisarką. Jej anonimowy debiut poetycki „Dumanie wieśniaka" znajdujemy w „Tygodniku Literackim" pod datą 9 listopada 1840 (N. 45). Wiersz ten przynosi rozczarowanie. Ale zagaja cykl kilkunastu piosenek, które będą zręcznie naśladować dykcję pieśni ludowej i w których pojawi się lud prawdziwy, nie chłopek Kazimierza Brodzińskiego, w klimacie krzywdy społecznej, nieporadnie, surowo wyrażonej. Nie poezja przecież zapewnia miejsce Molińskiej w literaturze. Została po niej nade wszystko żarliwa publicystyka, prowadzona na łamach „Tygodnika Literackiego", ze szczególną gorliwością w latach 1843 i 1844, owładnięta entuzjazmem dla idei postępu. Przygodnie uprawia prozę literacką. Z owych kart zapomnianych zasługuje na ocalenie reportaż **avant la lettre** „Dom obłąkanych w Owińskach" z roku 1843, fascynujący w swojej tematyce, nowość chyba całkowita w literaturze polskiej, wyprzedzająca reportaże Michała Choromańskiego z Tworek podwarszawskich. W podjęciu tematu, w opisach przeżyć ludzi szalonych kryje się groźna wróżba niedalekiego losu samej autorki.

Bo coraz bardziej zwiera się niebo nad kochankami. Za ciasno im w Poznaniu. Plotka i obmowa dosięgają raz po raz domu mieszczańskiego na Starym Rynku. Antoni i Julia — mimowoli mówimy o nich, niczym o parze romansowej z powieści romantycznej — postanawiają rzucić miasto. Chcą schronić miłość w miejscu bezpiecznym, jechać — gdzież? — do Wrocławia!

Poszlaka biograficzna głosi, że byli już wówczas małżeństwem. Ich ślub, niejasny w czasie, zawarty prawdopodobnie około r. 1841, miał się odbyć także we Wrocławiu. Ale żaden „szanowny Rymarkiewicz" nie odkrył, nie odkryje już rozstrzygających sprawę dokumentów. W każdym razie Wrocław zamajaczył Woykowskim, gdy zapragnęli wyjechać z Poznania — tak mówiło się wówczas — „na zawsze".

Za Wrocławiem przemawiały co prawda także inne powody. Plotka towarzyska jest stugębna, zaczyna wyraźnie szkodzić wydawnictwu. Już na kruchych nogach stoi tygodnik w Poznaniu. Ale zachowuje dawną poczytność w Galicji. Otóż Woykowscy nie bez słuszności poczynają liczyć, że z Wrocławia będzie im bliżej do prenumeratorów galicyjskich. Wrocław ówczesny stanowi ciekawe miasto książki, więcej: książki polskiej, specjalizujące się w pośrednictwie księgarskim. Wreszcie walka z cenzurą poznańską, prowadzona wytrwale przez sekretarkę pisma, już na dobre zmogła małżonków. Więc postanowiono: Wrocław! Pani Apolonia, pani Tekla, wszystkie panie Papuzińskie zatryumfowały. Z początkiem czerwca roku 1843 jęła Julia pakować walizy podróżne.

13 czerwca są już Woykowscy we Wrocławiu. Chcą tu siedzieć 6 do 10 miesięcy, na próbę. Później — któż wie? — może osiądą na stałe? Rachuby te okazały się jednak próżne. Prenumeraturzy „Tygodnika Literackiego" mogli czytać z pewnym zdziwieniem w N. 24 (z dnia 12 czerwca) wezwanie redakcyjne do wczesnego składania prenumeraty na drugie półrocze:

> Przytym nadmienia redakcja, iż wszelkie korespondencje, artykuły, listy i t. d. uprasza od 1 lipca nie do Poznania, lecz do Wrocławia, Junkernstrasse No. 3, gdzie się znajduje biuro redakcji, adressować.

Przerwawszy kartkowanie numerów „Tygodnika", chcemy zobaczyć dom wrocławski, w którym osiadła przelotnie redakcja periodyku polskiego w r. 1843. To mogło być tutaj. Na ul. Junkernstrasse (dziś Ofiar Oświęcimskich) znajduje się wypalony ozdobny narożnik, oznaczony numerem podwójnym 1/3.

Namioty rozbite we Wrocławiu stoją tu jednak kilka tygodni. Ledwie pięć numerów „Tygodnika Literackiego: 27—31, z datami od 8 lipca do 5 sierpnia 1843 r. ukazują się drukiem we Wrocławiu. Tłoczy je drukarnia Henryka Richtera, która poza tym dostarcza wydawnictwu papieru. Od zeszytu 32 (z dnia 12 sierpnia) „Tygodnik Literacki" powraca do Poznania.

Bo zawody nie każą na siebie czekać zbyt długo. Cenzura we Wrocławiu znajduje się wprawdzie w opieszałych rękach starego pastora Grottego, z osłabionymi władzami umysłu. Teksty polskie czyta pastor byle jak, nie rozeznawszy dobrze treści. Za to Prezydium policji nie spuszcza oka z przybyszów, pragnie ich widzieć raz po raz. Wybuchają lekceważone dotychczas trudności materialne. Spadek po ojcu redaktora maleje gwałtownie. Pochłonęła go rozległa i ambitna działalność wydawnicza, Woykowscy nie szczędzili grosza na cele społeczne. We Wrocławiu następuje dalszy wyraźny odpływ prenumeraty, wraz z równoczesnym obniżeniem poziomu pisma. Julia z nałogu zabiega o „finanse". To ona w tym małżeństwie jest siłą, porządkującą życie. Prawdopodobnie bez większego trudu trafia do zacnego Czecha, Jana Purkinie, profesora fizjologii w Uniwersytecie, znanego jako opiekuna grupy polskiej we Wrocławiu. Purkinie rozwiązał woreczek i wyliczył, nie mając „wielkiej nadziei wczesnego odebrania do 60 talarów". Przebywa stale we Wrocławiu przyjacielski August Mosbach, który nie ociąga się z pomocą. To on zawiódł małżonków między uczestników Towarzystwa Literacko - Słowiańskiego we Wrocławiu, którego jest członkiem-entuzjastą. Niestety, ujawnione w druku archiwalia Towarzystwa nie pozwalają owego stosunku bliżej zainterpretować.

Julia żyje we Wrocławiu intensywnie i ruchliwie. Zostawiła daleko za sobą matrony poznańskie, musi jej tu być lżej psychicznie. Sentymentalnie, gorąco — według świadectw współczesnych — kocha lud śląski, patrzy na niego, jak swojaczka. Pracuje z gorliwością wzmożoną. Pisze wiele do własnego tygodnika. Poza tym bierze się za nową robotę, dotychczas nieuprawianą. Układa we Wrocławiu elementarz dla chłopców, który w roku następnym (1844) ukazuje się drukiem, także we Wrocławiu, spod pras zasłużonego dla książki polskiej Wilhelma Bogumiła Korna. Książka nosi tytuł, w którym nie ma ani jednego rzeczownika w postaci niezdrobniałej: „Mały Tadzio. Elementarzyk dla grzecznych chłopczyków". Trudno, tak mówiono do dzieci w owej epoce. Nawet gdy chciało się je przestraszyć. „Różdżką Duch Boży dziateczki bić każe". Elementarz miał swoją własną historię, ale już nie będziemy jej opowiadali.

By oderwać się od papierów, Julia wymyka się czasem na koncerty. Melomaństwo jest cechą środowiska, Woykowski, syn znakomitego skrzypka, daje się chętnie słyszeć, jako wirtuoz fortepianu. Gdy pojawił się we Wrocławiu Samuel Kossowski, skrzypek naówczas europejskiej sławy, Julia pobiegła słuchać mistrza. Doznała niebywałego wrażenia. W tej muzyce — jak wyraziła egzaltowną prozą — był „ton wieszcza, myśl ojczysta". Twarz artysty — „poczciwa, rzewna a prosta" — pozostała jej na długo w pamięci. Tak musiał wyglądać — mniemała — „pradziad poezji naszej narodowej, Jan Kochanowski". Czy istotnie poeta czarnoleski przypominał wyglądem Samuela Kossowskiego nie będziemy rozstrzygać. Ale czytelnicy studium Wacława Borowego „Kamienne rękawiczki" wiedzą, że maska pisarza „Trenów" przedstawiała układ znacznie bardziej zawiły, aniżeli twarz „poczciwa, rzewna a prosta".

Wśród podobnych zatrudnień wyobraźni i pióra wybucha naraz wrzawa po urzędach niemieckich. Aleksander Ciesielski ogłosił w „Tygodniku Literackim" wierszyk „To kwiatek z mogiły Kościuszki". Zanosi w tej sprawie ostrą interwencję poseł austriacki w Berlinie. Wówczas wychodzi na jaw, że Woykowski nielegalnie przeniósł do Wrocławia pismo, które posiada koncesję jedynie na obszarze Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Wiedeń, Berlin, Poznań i Wrocław angażują swoich cenzorów i organa policji, by nakazać Woykowskim powrót do Poznania. Redaktor próbuje zrazu uzyskać nową koncesję na prowincję śląską, ale bezskutecznie. Sam minister spraw wewnętrznych czyta podanie Woykowskiego, który zabiega w ten sposób o prawo pobytu we Wrocławiu. Władza ocenia niebezpieczeństwo, władza nie pozwala. I oto numer najbliższy r. 1843 (N. 32, z dnia 12 sierpnia) ukazuje się drukiem znowu w Poznaniu, czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki. Julia ze smutkiem rozgląda się po Wrocławiu, składając do drogi rękopisy i korekty. Mogła myśleć nad stosem papierów: Czy wróci tu kiedy, między ostre łuki gotyckie, do ludzi, którzy nie szepczą o niej ze zgrozą? Nie wiedziała wówczas. Ale przyszło jej jechać do Wrocławia raz jeszcze.

Lata, które nadchodziły, były złe: „Tygodnik Literacki" miał już za sobą okres, pełen świetności. Teraz wyraźnie wegetuje. Julia rozwija żywą działalność na różnych polach, podejmuje pisarstwo dla ludu, dla dzieci i młodzieży, pragnie znaleźć różne formy dla uprawiania postę-

powej dydaktyki. Jest to uparta i trudna walka z losem i społeczeństwem. Wóz cygański przetacza się po różnych drogach, ze szczęściem, które bywa kapryśne. Małżonkowie, jak w przysłowiu, siedzą w tych latach rozmaicie: na wozie i pod wozem. Znamy w licznych wersjach wszystkich literatur dzieje cyganerii, która z salonu na Starym rynku przenosi się łatwo do niskiej izdebki na Rybakach, o jednym oknie, o jednym łokciu w kwadracie. Taki już styl tego życia, które rządzi się własnymi prawami.

Aż 20 kwietnia 1850 r. umiera Antoni Woykowski na skutek ataku paraliżu. O stanie Julii trzeba powiedzieć tak samo, jak zwykło się mówić w ówczesnej powieści: Nikt jej smutku nie zdoła opisać. Z notatki przyjacielskiej wiemy, że „w kilka godzin zestarzała się przynajmniej o lat dziesięć". Jej własne słowa, nie o wiele późniejsze, posłużyły się śliczną metaforą: oto „posiwiało (jej wówczas) serce".

...za Spokojem zawsze szłam. Odtąd owinąć się w niego myślę... Spokój jednak trudno przychodzi, gdy się go wzywa lub pragnie posiadać. Pani Woykowska zna dotychczas wszelkie postawy i formy działania, prócz postawy rezygnacji. Raz jeszcze podejmuje walkę — już naprawdę samotna — z wielkimi trudnościami materialnymi, rodziną, ludźmi, prawem. Chce być, jak dawniej: samodzielna, zaradna, emancypantka. Ale próba jest ponad siły Julii. Opuszcza ją dawna jasność i trzeźwość. myślenia, kontrola umysłowa, zdumiewająca u kobiety. Pisarka z pogranicza dwu stanowisk ideologicznych: romantyzmu w życiu i pozytywizmu w twórczości skłania się niespodzianie do form mistycznych. Koresponduje teraz z Goszczyńskim na temat prawdy i błędu w nauce Towiańskiego, zagłębia się w książki jednego ze sprawiedliwych, ks.Lammenais. Ów zwrot w życiu psychicznym wyraża się przestawieniem twórczości na szlaki, którymi Woykowska nie stąpała dotąd: jest to pisarstwo mistyczne, pogrążone w wizjach księżycowych, niejasne, ciekawe raczej dla psychologa chorej twórczości, aniżeli dla krytyka literatury.

Po śmierci rodziców, w styczniu r. 1851, Julia uciekła z Poznania do Trzemeszna, do domu brata Józefa. Ale niepokój, ciżba przeżyć, popłoch wewnętrzny ścigają ją dalej. Z Trzemeszna „nocną dobą" — tak zanotowano, jak w balladzie — zostawiwszy nakaz, by zaniechać wszelkich poszukiwań, znika ku przerażeniu rodziny. Pojawia się — gdzie? we Wrocławiu, w mieście przelotnego szczęścia. Czy pieszo? Tak sądzą przyjaciele, była podówczas bez pieniędzy. Jakimś odruchem pedantyzmu, który nam trudno zrozumieć, zabrała ze sobą dowód wymeldowania się w Poznaniu. Był świeży maj wrocławski w r. 1851. Julia chodzi po ulicach, usiłując je odpoznać w osłabionej, chorej pamięci. — Gdzie zamieszkać? Zaniosły ją kroki na Goldene Radegasse (dzisiaj Złote Koło), przystanęła pod Nr 24. — Nazwa ta działa dziś na nas przez swój kontrast. Zaprawdę, nie na złotych kołach toczy się teraz życie Julii Woykowskiej. W owej szarej kamieniczce, która przetrwała stulecie, Julia mieszka dziwnie krótko. Jej adres następny prowadzi nieopodal, na Reuschestrasse (obecnie ul. Ruska), pod Nr 2. U wdowy po grabarzu umarłych, poczciwej Frau Sschubert, najęła pisarka łóżko i dzienne utrzymanie. Cóż mogła robić? Szyła dla krawca „grube rzeczy", nie otrzymując nic wzamian. Gospodyni, „uczciwa przekupka", która na pobliskim rynku, pod pomnikiem Fryca, sprzedawała owoce, stawia przed Julią Woykowską miskę zupy niemieckiej „z miłości bliźniego". Niebawem rozpocznie proces z niegodziwym krawcem o „kilkotygodniową zasługę" Woykowskiej. Kto wygrał ów smutny proces: krawiec czy Frau Schubert, nie wiedzieć.

Nie śledziła go już chałupnica z ulicy Ruskiej. Ścigana przez wizję postaci mężowskiej, 13 lipca 1851 r. oddaliła się potajemnie z domu. Nie uszła daleko. Ledwie do wioseczki Niederhof, 9 km od Wrocławia. Nazajutrz, 14 lipca, „przy najstraszliwszej słocie", znaleziono ją w polu. Miała na sobie lekką czarną suknię, twarz osłoniętą czarną chustą. To jest ostatni kolor, w którym jawi się pani Woykowska przed nami, w kirach, w żałobie. Była już na prawdę chora. Gdzież zanosi się w Niemczech chorego obcego człowieka? Przepis jest jasny. Julię zaniesiono na policję. W Niederhof, później we Wrocławiu przesiedziała cztery dni w areszcie. Potem żandarmi pruscy zawieźli ją do szpitala Wszystkich Świętych, gdzie otrzymała pokoik, znaczony numerem 30. To jest ostatni adres Julii Woykowskiej we Wrocławiu.

Odtąd była już obłąkana. Nie mówiła słowa. Na pytania odpowiadała na kartce papieru. Nie przyjmowała żadnej żywności. Żyła bułką za 3 fenigi dziennie. Już nie szyła „grubych rzeczy" dla krawców wrocławskich, którzy nie chcieli jej płacić. Uparcie stawia teraz przed sobą portrecik dagerotypowy męża, już prawie zagasły, zatarty częstym całowaniem. Wszystko, co mówi lub pisze na skraweczkach papieru w ciągu tamtych tygodni, dotyczy Antoniego Woykowskiego. Szuka go wokół, upatruje mężczyzn podobnych. Dokumenty umieją być bezlitosne. Ocaliły wszelkie słowa, które Julia — wierna, jak w teatrze tragicznym — wypowiada lub wypisuje w szpitalu. Są to słowa szalone, nieprzytomne, pełne grozy. Oszczędzimy czytelnikowi tego klinicznego protokółu.

Śmierć Julii Woykowskiej nastąpiła wskutek całkowitego paraliżu, 9 sierpnia 1851 r., o godz. 3-ciej rano. Orzeczenie lekarza, dra Spingera, jest suche i obiektywne. Julia cierpiała na „Fixe Idee". Pogrzeb odbył się 12 sierpnia, na koszt wytrwałego przyjaciela, Augusta Mosbacha. On też pieczołowicie zgromadził papiery zmarłej i odesłał je do Trzemeszna. Niebawem, śladami Julii, zawędrował do Wrocławia inny towarzysz Woykowskich, Emilian Pol.

Wiecie — napisał później — jak wszystko porządne w Prusiech. W szpitalu wskazał mi urzędnik pod rubryką: „Julia Woykowska, Schriftsteller — Witwe" numer, a poczciwy dozorca zaprowadził mię doń, że mogłem się pomodlić w tym pokoju, gdzie życie przebolała do końca.

Dzisiaj, błądząc ulicą Ruską, ulicą Złotego Koła, cóż powiemy na pożegnanie z Cieniem? Szła tymi zaułkami, w czarnej sukni, z czarną chustą na głowie. Mrok bił od tej postaci. Gdy umierała, liczyła 35 lat.

Szkic niniejszy opiera się na wzorowej monografii Marii Frelkiewicz: Julia Moliska-Woykowska. Poznań 1938. Biblioteka „Kroniki miasta Poznania", Nr 9. W kilku szczegółach uzupełnia ją Zenon Kosidowski: Z okresu złotego kultury Poznania. Tygodnik Literacki. 1838—1845. Poznań 1938. Biblioteka „Kroniki miasta Poznania", Nr 8. Tytuł szkicu posługuje się formułą felietonu Stanisława Wasylewskiego z r. 1935. — Woykowska zamierzała pisać pamiętniki, w ich planie znajdował się rozdział, poświęcony Wrocławowi r. 1843. Pamiętniki te nie wyszły drukiem, musimy uważać je za stracone.

Jan Brzoza

ZIEMIA

Asfaltowa droga wiła się zygzakowato, lub biegła prosto, wbijając się rozpaczliwym klinem w szare niebo. Wzdłuż drogi stały rzędem graby, w zadumanej aleji. Po drodze szła gromada ludzi i zwierząt, tworząc długi korowód pochylonych postaci. Ludzie dźwigali ciężkie toboły, szli w milczeniu, szurali butami, a konie wystukiwały leciutkie echo, wsiąkające w nagie konary drzew. Na przodzie szedł Andrzej Wyka, a tam daleko daleko w tyle wlókł się duży, postrzępiony kundel. Andrzej Wyka usiłował od czasu do czasu podnieść głowę i popatrzyć, czy nie widać już tej wsi. Przychodziło mu to niełatwo, gdyż ciężki tobół, umieszczony na plecach przygniatał coraz bardziej do ziemi. Z początku, kiedy wyszli ze stacji oglądał się nawet poza siebie, żeby mieć na oku całą gromadę i swoją rodzinę, drepcącą mu tuż po piętach. Ale potem tobół zaczął cisnąć, nie dawał złapać tchu, dusił, wywalał język na brodę, oczy stawiał w słup. Już nie było możności interesować się ani ludźmi, ani sobą. Świat zaciemnił się, zatarł w zalanych potem oczach, w słonym jego smaku w ustach i już zobojętniał w tym końcu wędrówki. Tylko od czasu do czasu głowa usiłowała podnieść się w ostatnim wysiłku, a zamglone oczy wypatrzeć upragnioną wieś, w której będzie nareszcie można przede wszystkim zrzucić ciężar. Aby jeszcze do tego miejsca, gdzie ziemia styka się z niebem. Ale potem droga zaczęła się piąć w górę i tu trzeba było odpocząć. Andrzej Wyka podszedł ku skrajowi drogi i zwalił swój tobół na ziemię. Kiedy obtarł pot z oczu gromada zrzucała za jego przykładem toboły. Zauważył, że pochód rozciągnął się tak, iż drugiego końca nie było widać. I jeszcze jedno: że szli kolejno chatami tak, jak sąsiadowali ze sobą w Witwicy. Króle, Bryle, Błażeje, Rele, Gajdy, Derkacze, Zięby, Stawarze, Kiziowie, Klimczuki.... a tam na samym końcu idzie chyba stara Wiechowiakowa. Na wspomnienie o niej poskrobał się pod czapką. Kłopot i tyle. Ma to z dziewięćdziesiąt lat. I nie mogła sobie już tam zemrzeć spokojnie. Wlecze się nie wiadomo poco i tylko patrzeć jakiego nieszczęścia po drodze. Ani pogrzebu ludzkiego, ani księdza — ech. Zerknął z niepokojem w tamtą stronę. Jak okiem sięgnąć tłoczyli się ludzie w milczeniu zwalając swoje tłomoki. W tym kotłowaniu się była śmiertelna cisza. Tylko gdzieś w pobliżu płakało dziecko Królowej, a tam gdzieś na niewidocznym końcu zaryczała krowa. Echo tego ryku rozniosło się niepokojąco po pustych ścierniskach. Ryk krowy przypominał wszystkie troski i dziwnie zatarł różnicę przestrzeni, jaką przebyli. Przecież to zupełnie jak w ich Witwicy. Teraz, kiedy przyszło odetchnienie, ogarnęła ludzi zwykła wsiowa troska. Krowa zaryczała znowu, za nią druga, trzecia, a w ślad za tymi głosami gromada zaszemrała gwarem rozmów, płaczem dzieci, łajaniem kobiet. Lżej się jakoś zrobiło. Przejrzały oczy i dopiero teraz Andrzej Wyka zaczął się przypatrywać krajowi. To już napewno będzie niedaleko — pomyślał. A kraj ci jakiś podobny do tamtego. Po tamtej stronie rozciąga się pole po burakach, a dalej hen sinieją góry. Tu po tej stronie ugór po pszenicy docierający do sosnowego lasu. I droga podobna, tylko nie taka gładka. Akurat droga z Bolechowa. Góry były też po tamtej stronie... i las był sosnowy i droga pięła się w tym miejscu pod górę. Ciekawe, czy tam, poza pagórkiem będzie dolina, most na rzece i czy będzie wysoka skała na której stoi klasztor Bazylianów? Napewno nie ma tu klasztoru. Nie ma tu niczego, tylko gromada ludzi, cała wieś z krowami, które ryczą. Już południe i krowom trzebaby podrzucić paszę. Głodne są a tu ściernisko i wiatr, który właśnie zerwał się z poza tamtych gór. Wiatr przyniósł tchnienie wiosny, chyba takiej samej jak tam.

Znowu dziecko Królowej zapłakało. Przystawiła je do zdyszanej piersi i wpatrzyła się tępo przed siebie. Starsze dziecko uczepione spódnicy targało się niecierpliwie. „Jeść! Jeść!" Więc sięgnęła drugą ręką do węzełka, wyjęła kawał chleba. Zaczęło jeść. Przystąpiła trzecia dziewczynka i wyciągnęła rękę. „Jeść chcesz? krowę wpierw wydój — krowę wydój, co stoisz! Bierz bańkę o tu, słyszysz? Patrz Zośka już doi. Potem dostaniesz chleba! Co to, czy ona lepsza od ciebie?..." Tego było już za dużo Brylowej: „A możebyście przestali sobie gębę wycierać Zośką? — rozgorzała pogwarka cięta z przymówkami. Stara, sąsiedzka kłótnia jak tam, skąd przyszli. Obie kobiety trajkotały może jeszcze zawzięciej niż zwykle, gdyż do tej zawziętości przyczyniło się zmęczenie i udręka dalekiej podróży.

Wiatr uderzył w gromadę silniej, szarpnął chustami kobiet i jakby przyciszył sąsiedzką kłótnię. Słowa sypiące się z ust

Czesław Piskorski

Wineta — Królowa Bałtyku

Z zachodnio-pomorskich legend ludowych

Potężnym grodem bałtyckim była Wineta. Jedynie Carogród, który gdzieś tam na drugim końcu morza się znajduje, mógłby się z nim równać. Kupców można tam było z całego świata spotkać, a więc i ze słonecznej Italii i Hiszpanii, z wybrzeży Afryki, smagłe i ciemne oblicza Egipcjan i z Carogrodu, którzy przez ruskie ziemie i góry wysokie do Winety po drogi bursztyn przybywali, i z innych krajów północy, Anglii i Danii. Któż to zresztą zdoła wyliczyć te wszystkie ziemie i narody?

Boć też pewnie w samym środku świata leżała Wineta, że wszystkie szlaki handlowe przez nią biegły i do niej musieli królowie i władcy wysyłać swe poselstwa, by tu wyprawy dla cór swych uzupełnić tym, co w ojczystym kraju brakowało i dary ojczystej ziemi na zamorskie olejki i bakalie, jedwabie i metalowe wymieniać naczynia.

Nic więc dziwnego, że rosła Wineta w bogactwo. Ci co w Carogrodzie byli i wspaniałe jego pałace widzieli, mówili, że Wineta przepychem swym Carogród zaćmiewa. Carogrodzcy kupcy z zazdrością patrzyli na wspaniałe, jasnym kamieniem wykładane place, na wyniosłe domy marmurem i alabastrem przyozdobione, na cudne rzeźby zdobiące miejskie ogrody.

A już lepiej nie było wchodzić do wnętrza tych pałaców i domów mieszczańskich. Co za bogactwo, co za przepych! Kamienne schody, wschodnimi pokryte dywanami, prowadziły do sal tak pięknych, że przybysze zamorscy zazdrościli tylko mieszkańcom Winety potężnego boga, który się tak miastem opiekuje i mieszkańcom łask swych nie skąpi.

Mieszkańcy Winety wdzięczni byli swemu wielkiemu Trzygłowowi, i na wzgórzu nadmorskim chram potężny mu wybudowali. A przy nim kapłanów wielu, którzy się świętym ogniem opiekowali i przybyłym z odległych krajów przyszłość przepowiadali. I słynna była winecka wróżba: trafna i dokładna. Toteż władcy Winety przed wojenną wyprawą zawsze do chramu się udawali i tam dary wielkie i cenne składając, potężnego Trzygłowa pokornie prosili, by tajemnice przyszłości przed nim odsłonił. Wówczas kapłani konia wyprowadzali i z jego biegu przez ułożone włócznie wróżyli. I o ile Trzygłów był łaskawy i wróżba pomyślnie wypadła — władca zwycięską przeprowadzał wyprawę, po której znowu bogom darów nie szczędził.

Dziwili się kupcy z Carogrodu dalekiego, gdzie to już wiara w jednego panowała Boga, że na pogańskie miasto Bóg tak obfite zsyła łaski.

I rósł gród w bogactwa i władzę. W porcie setki staktów się uwijały, przywożąc sól i tkaniny, korzenie i setki innych artykułów. Wszystkie języki świata można tutaj było usłyszeć i najróżniejszym napatrzeć się obliczom. Tysiące niewolników wyładowywało ze statków towary, gdy inni równocześnie z miejskich składów przynosili to, co Wineta w zamorskie wysyłała kraje. A w bramie miejskiej ruch był niekiedy tak ogromny, że nowo przybyli długo musieli czekać zanim do grodu się dostali.

Gród bowiem, pomimo, że na wzniesieniu nad morzem leżał i tym samym już był obronny, jednakże potężną drewnianą palisadą był otoczony dla tym lepszej obrony:. A na palisadzie, kamieniem umocnionej i według doświadczonych słowiańskich systemów zbudowany, wie że były potężne, z których strażnicy daleką przestrzeń morza obserwowali, czy wróg jaki się do wyspy nie zbliża, przed którym

Brylowej przyduszane były od czasu do czasu tak, że urywanego ich sensu nie mogła dosłyszeć już Maryna, choć strasznie były ciekawe. Maryna, Błażejowa córka, zresztą zawsze słuchała uważnie kłótni sąsiadek. Maryna porała się z tłómokiem, który rozluźnił się, ale był to tylko pretekst, żeby być bliżej kłócących się i żeby ojciec nie widział. Ojciec tego nie lubiał. Stary Błażej zawiązywał mocniej sznur koło szyji końskiej. „Anu" — klął, gdyż koń szarpał się i zerkał ku polowi. — „Anu sobako, na pole ci się chce już w marcu. Chorobo, zachciało ci się, jak tym wszystkim w świat, co? Jak hrabiom do ciepłych krajów? Będziecie wy jeszcze wspominać moje słowa. Będziecie jeszcze płakać rzewnymi łzami. Anu, zawsze mówiłem, że na miejscu kamień porasta. A teraz co? Rzuciło was do cudzego kraju. Cudzy chleb wam zasmakował. Folwark niemiecki. Będziecie wy widzieć ten folwark, aż wam bokiem wyjdzie. Stój, chorobo ciężka! Gdzie ta lecieć chcesz? Na pastwisko w marcu. Patrzeć nie można, jak to chudnie. Ale tamten koń Rela to już chyba nie dojdzie".

Koń Rela rzeczywiście zdychał. Stał na środku drogi i zwiesił łeb ku ziemi i nie chciał jeść siana, które mu podawał. Rel przemawiał do niego jak do człowieka. Szarpał go z rozpaczą. „Na — mówię ci: na — wołał — zdychasz, zostawić mnie chcesz do reszty? Sam mam zostać w tym kraju? Mało ci, że tamtych nie ma, Józka, Kaśki. Tamtych porżnęli, a ty zdychasz? Na, mówię ci"... Usiadł na asfalcie koło konia i tarł niegolony podbródek. „Co to będzie teraz? — spytał rozkraczonej na tobołach Łosiowej. Łosiowa, jak to ona: gruba, zadowolona zawsze z siebie i świata. „No co, zdechnie i tyle. Dostaniecie innego teraz. Niemieckiego" — odpowiedziała, składając ręce na podołku. „Patrzcie, jak to teraz gada" — pomyślał trąc jeszcze bardziej brodę. „To ci baba"... zamyślił się nad tym tak, że zapomniał na chwilę o koniu. „Jak to teraz gada. Zdechnie, powiada, a wtedy była całkiem inna. Wtedy, kiedy ocaleli po tej rzezi banderowców, kiedy została w jednej godzinie wdową i bezdzietną tak, jak i ja — można było połączyć tamte oba gospodarstwa. A teraz? Teraz już jej się nie opłaca. Tam by było 22 morgi, a tu tylko 10 na dwoje". Rel patrzył na kobietę z podziwem. Jej okrągła twarz o małych oczkach i małym zadartym nosie wydała mu sie teraz...

Zaczął padać deszcz, a po chwili uderzyła w gromadę śnieżyca i zakryła ją. Tylko koń Rela stał na środku drogi — a tam dalej dwóch ludzi ćmiących papierosy. Gajda z Derkaczem stali obok siebie i patrzyli w stronę gór. Stali w tej samej pozycji, jak tam przy płocie, kiedy to schodzili się na papierosy. To była ich tajemnica, z którą kryli się przed swoimi kobietami. I teraz skorzystali z śnieżycy, która zakryła ich przed oczyma połowic. Rozmawiali o tej wsi, do której zdążali. Gdzie to ta wieś niemiecka? „Powiedział ten na stacji: iść drogą, iść i pierwsza wieś, którą napotkamy, będzie nasza". „A mówi, że nie daleko" — dorzucił Derkacz, chowając papierosa w kułak, gdyż śnieżyca nagle ustała i deszcz drobny, skośny zaszumiał śpiewnie w gałęziach drzew. Wypuścili ostatnie kłęby dymu i popatrzyli w stronę Rela, który znowu szamotał się z koniem. Naraz odwrócili głowy. Tam poza nimi zadźwięczał śmiech dziewcząt. To obie Derkaczówny chichotały. Twarz Gajdy wydłużyła się i wąsy opadły jeszcze bardziej w dół. „Ot, co to młodość" — rzekł poprzez resztki dymu — „w taki czas, a tym kozom do śmiechu".

Obie Derkaczówny śmiały się ze Staszka Zięby. Bo i jak się nie śmiać. Staszek Zięba nie mógł z powrotem wzuć buta. Zdjął go, gdyż długi marsz zdarł mu skórę na stopie. Więc poprawił onucę i mimo to but ani rusz nie chciał wejść na nogę. Podskakiwał na jednej nodze, czapka zesunęła mu się na oczy a ten śmiech dziewcząt doprowadził go do wściekłości. Ból i śmiech. Więc zerwał się i pokustykał ku tyłowi pochodu, omijając Stawarzów, Kiziów, ryczące krowy, rozgwarzone baby i dzieci. Dowlókł się aż do Klimczuków i tam zażądał pomocy obu kolegów Michasia i Mikołka. Akurat siedzieli wśród tobołów, dzieci i bab i jedli chleb. Zaraz poskładali scyzoryki i wzięli się do wciągania tego buta. „Nie da rady" — zamruczał przez zęby, zasapany Michaś. „Ty bracie będziesz teraz musiał iść boso. Zezuj drugiego buta i spokój." Nachylili się nad tą stopą. Rzeczywiście spuchła i posiniała. Wobec tego wyjęli scyzoryki i zabrali się do jedzenia.

Deszcz padał i zamienił gromadę w coraz bardziej zbity kłąb, rozciągnięty daleko wzdłuż drogi. Na samym końcu siedziała na asfalcie tuż koło małego węzełka stara Wiechowiakowa. Obok niej przywarował strzępiasty kundel. Oboje siedzieli daleko od gromady niby niepotrzebny odpadek. Stara kobieta i pies dobiegali końca swoich dni. Ciałem staruszki wstrząsał co chwila dreszcz. Za każdym paroksyzmem schylała się coraz bardziej ku ziemi. Podnieść się już nie miała sił. To już koniec. Jak trudno jest umierać na tej drodze do nowego życia. Tam w tej gromadzie ludzkiej wre życie, gwarzą kobiety, mężczyźni snują już plany na przyszłość. już tu na drodze układają się te same sprawy, które wloką się za ludźmi przez świat. Jak okrutnie chichoczą dziewczęta na tej drodze wbijającej się rozpaczliwym klinem w dalekie szare niebo. A tu, na szarym końcu pochodu, droga starej kobiety kończy się. Tam na horyzoncie jest koniec wszystkiego. Poza starą kobietą droga nie była taka prosta. W zasuwających się mgłą śmierci oczach, droga ta skręcała się w zygzaki. Jej twarz zaczęła dziwnie maleć, a setne zmarszczki wygładzać. Tylko oczy usiłowały daremnie patrzeć na ten świat. Olbrzymiejące oczy, w których odbiło się to samo przerażenie jak wtedy, gdy pijani oprawcy kazali jej patrzeć na okrutną śmierć córki i wnucząt. Kiedy odeszli, długo siedziała nad trupami pomordowanych i wtedy zdawało się, że już umrze. Ale nie umarła, a życie tliło się w niej tym dziwnym ognikiem strachu, złych przeczuć i pragnienia ucieczki. Choć minęło dwa lata od tego wypadku stara Wiechowiakowa żyła tylko tym straszliwym wspomnieniem. Miara ludzkiego okrucieństwa przeszła tu wszystkie granice. I oto teraz przychodzi śmierć a bezzębne usta staruszki szeplenią zamierającym szeptem: „Dlaczego mnie nie zabili" — „Dlaczego nie zabrała mnie święta ziemia?" — modli się coraz ciszej. Ostatnim wysiłkiem wyjęła z zanadrza mały woreczek i ścisnęła go na sztywniejących palcach.

Na samym przodzie pochodu Andrzej Wyka skinął na swoją gromadę. Wstał, poprawił czapkę i narzucił na plecy tobół. To było hasło do wyruszenia w dalszy pochód. Ludzie znowu ruszali się kolejno chatami sąsiedzkimi. Króle, Bryle, Błażeje...

I wtedy nagle przestał padać deszcz. Niebo wyjaśniło się i góry ukazały się znowu oczom ludzkim. Tam, na samym końcu pochodu zawył pies. To wycie unieruchomiło na moment gromadę ludzką. Andrzej Wyka miał już wyruszyć. Stanął i słuchał tego wycia ze strachem. „Tak samo wyły psy wtedy po napadzie banderowców" — pomyślał i sięgnął ręką do sznura tobołu. Rozejrzał się, gdzieby można uciec. Tuż za wyciem psa przeleciał wzdłuż pochodu okrzyk: „Stara, stara umarła, umarła"... Zrzucił tobół i pobiegł w tamtą stronę. Musiał się przepychać przez gęstą ciżbę ludzi. Łokciami, kolanami przedarł się. Nad trupem stali mężczyźni, kobiety, dzieci. Staszek Zięba stał najbliżej z tym jednym butem w ręce i gapił się z szeroko otwartą gębą. Andrzej Wyka odepchnął go i nachylił się nad nieboszczką. Leżała wyprostowana dziwnie mała, o twarzy pożółkłej, gładkiej jak u młodej dziewczyny. Tylko oczy były nieruchomo otwarte i patrzyły po przez bielmo z przerażeniem na szare niebo. W zaciśniętej dłoni trzymała mały woreczek czymś napełniony. Andrzej Wyka nachylił się jeszcze bardziej, dotknął go. Tak. W woreczku była ziemia z Witwicy.

Wyprostował się i zdjął czapkę.

Katowice, — kwiecień 1946 r.

Andrzej Frydecki i Tadeusz Michejda

Pomnik powstańca śląskiego

I.

Komitet Budowy Pomnika Powstańca Śląskiego rozpisał w listopadzie ubiegłego roku konkurs na prospekt pomnika którego miejscem realizacji ma być Góra św. Anny.

Góra św. Anny tworzy masyw wyniosłości, wyrastający z lekko falistego na ogół nizinnego terenu okolicy Strzelec. Wzgórze to do XVI. wieku nosiło nazwę Chełm. Sprowadzenie tutaj relikwii św. Anny dało początek klasztoru tegoż wezwania, do wzniesienia którego przyczynili się zbiegli z Krakowa po klęsce najazdu szwedzkiego zakonnicy. Miejsce to stało się z biegiem lat celem pielgrzymek ludu śląskiego, a w czasie ruchów powstańczych po wielkiej wojnie było ośrodkiem skupiającym siły polskie. W maju 1921 roku rozegrało się tutaj jedno z największych starć bojowych tego okresu Wrzynająca się w południowy stok góry kotlina, ocieniona pięknym drzewostanem, tworzy wspaniałe uroczysko, którego miejscem dominującym jest piętrząca się pionowo skała. Masyw cały stanowi główny węzeł samorodnej kompozycji, jaką stworzyła przyroda. Podnóże skały przechodzi półkolisto w przeciwległe zbocze doliny amfiteatralnie opasujące moment skały o bogatych przez naturę rzeźbionych formach, a ujęta nimi przestrzeń tworzy miejsce pełne powagi i uroku skłaniającego do kontemplacji. Horyzont zboczy ograniczają zarysy drzew, a ponad skałą wśród zieleni sadów widnieje koronująca szczyt góry sylwetka klasztoru. Niemcy, doceniając doniosłość symbolu w zbiorowym życiu narodu i wiekowych jego zmaganiach wycisnęli tutaj piętno swej chwilowej przewagi. Na skale wzniesiono mauzoleum, u stóp skały założono olbrzymi amfiteatr kamienny, a całość obszaru poddana została kompozycyjnym uzupełnieniom, niedoprowadzonym zresztą do końca. Budynek mauzoleum uległ zburzeniu w samorzutnym odruchu. Pozostały amfiteatr, zgodnie z warunkami konkursu jako czynnik wspólny europejskim kulturum, ma pozostać jedną z części składowych przyszłego założenia.

Na tym tle rysują się cele i założenia odbytego konkursu. Celem jego było uzyskanie najlepszego rozwiązania, pod względem plastycznym odzwierciadlającego ideę czynu powstańczego na tle dążeń wolnościowych ludu śląskiego, a jednocześnie skontrolowanie wszystkich czynników naturalnych i wkomponowanych ręką ludzką dla zadecydowania nowego obrazu tego miejsca, odpowiednio do obecnego momentu historycznego i do potrzeb wynikających z przeznaczenia tego miejsca na tło dla masowych uroczystości.

Temat konkursu był zatem niebywale trudny. Autorzy mieli w nim dać rozwiązanie nie tylko estetycznej, ale i utylitarnej strony zagadnienia na tle istniejących czynników geograficzno - krajobrazowych i historycznych, jakim jest miejsce Góry św. Anny.

Góra ta posiada bowiem wszelkie cechy zaliczające ją do rzędu narodowych miejsc pamiątkowych, związanych z przełomowymi momentami dziejowymi narodu.

Miejsca tego rodzaju wiążą w sobie zazwyczaj motywy: geograficzno - krajobrazowy, architektoniczny i historyczno-literacki, którego dominującym czynnikiem jest pewien nabierający znaczenia symbolu składnik jak obraz, rzeźba, dzwon, krzyże itp. Motywy te wiążą się ze sobą w splot wrażeń estetycznych, doznawanych przez jednostkę w różnym stopniu natężenia w zależności od rodzaju wrodzonych wrażliwości. Takie zestawienia jak na przykład: wzgórze jasnogórskie, klasztor OO. Paulinów, cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, lub — wzgórze wawelskie, zamek, dzwon Zygmunta itp. są źródłem emocji estetycznych o różnym podkładzie i różnym stopniu natężenia u poszczególnych jednostek. Nie ulega wątpliwości, że składnik ostatni,

---

bramy zamknąć by należało. A przeciwko wrogowi ruszała potężna flota Winety, która niszczyła nieprzyjaciela i jeszcze łup bogaty sprowadzała. I jak długo mieszkańcy Winety życie prowadzili skromne i godziwe, błogosławił Trzygłów ludowi swojemu. Ale w miarę upływu czasu bogactwa grodu sprawiły, że nieróbstwo, a w jego następstwie i rozpusta zagnieździły się w grodzie. Już na codzień używano naczyń ze złota, spiżu i cyny, ze srebra naczynia przeznaczone dla pospólstwa. Młodzież grodu, miast w wojennym rzemiośle się ćwiczyć i kupiectwa zasad uczyć na próżniactwie czas spędzała, o rozkosze i przyjemności tylko dbając. Wina z dalekiej Italii, muzyka i śpiew — to zajęcia młodzieży wineckiej.

A o Trzygłowie nikt już nie pamiętał, chram był pusty i tylko starcy kapłani smutne zawodzili pienia przy świętym ogniu i nieszczęsną grodowi wróżyli przyszłość. Lecz nikt ich pienia nie słuchał. Wineta się bawiła, nie o darach dla wszechwładnego Trzygłowa, lecz o beztroskiej zabawie myślała. Już miastu bóg nie był potrzebny.

A gdy na nic nie zdały się przestrogi kapłanów zawrzał gniewem trójbicy Trzygłów. Postanowił ukarać ten lud niewierny i niepomny otrzymanych dobrodziejstw. Dzień to był dla Winety szczególny. Córka królewska, przepiękna Świętosława, zamąż za królewicza jednego z północnych krajów wychodziła. Miasto szalało z radości. Setki niewolników przystroiło miasto w kobierce i złoto. A gdy wieczór zapadł przy blasku smolnego łuczywa w zamku wrzała zabawa, a na ulicach miejskich przy płonących ogniskach bawił się lud. Wino lało się strumieniami, niewolnicy obracali woły na rożnach, złociste misy z mięsiwem i spiżowe dzbany z napojami krążyły pomiędzy biesiadnikami. Beztroska panowała wśród bawiących się tłumów, gromkie i wesołe śpiewy brzmiały po ulicach i placach, ogrodach i pałacach. I cieszył się władca Winety, że lud jego jest zadowolony i szczęśliwy. A o Trzygłowa nikt nie pamiętał. I coraz więcej chmurne stawało się potrójne oblicze boga, i coraz smutniejsze były serca jego kapłanów.

— — — — — — — — — — — — — — —

I oto, nagle, gdy w mieście zabawa zdawało się, że doszła do zenitu, zahuczały na rozkaz Trzygłowa wichry i rozpoczęły pędzić wody morskie na rozbawione miasto. Biesiadnicy, zamroczeni winem i zabawą, nie mogli się zorientować co się dzieje. Wicher, burza, coraz to więcej przybierały na sile, a woda wtargnęła już do wspaniałych mieszkań i pałaców, niosąc śmierć i zniszczenie. A wody przybywało coraz to więcej — a ziemia się obniżała, aż Wineta zniknęła wśród morskiej toni.

— — — — — — — — — — — — — — —

Słuchaczu miły. Gdy kiedyś pojedziesz do Świnoujścia, porozmawiaj z miejscowymi rybakami. A oni powtórzą ci tę legendę i jeszcze powiedzą, gdzie znajdowała się królowa Bałtyku Wineta. Gdzieś w pośrodku wyspy Uznam, na której leży i Świnoujście, znajduje się mała wioska rybacka Damerów. Przy wiosce tej sterczą z morza skały podwodne, które miejscowa ludność zwie Winetową Rafą. Te skały to resztki pałaców ukaranego przez Trzygłowa grodu.

Idź nad morze z rybakiem. On pokaże ci ulice, gmachy, pałace, chramy. Wystające ponad wodę skały, to wieże kościołów, a regularnie obok nich ułożone kamienie, to dawne ulice, przy których wyraźnie widać fundamenty dawnych domów. Wszystko to porosło wodorostami morskimi. Rybacy zapewniają, że wystarczy długim drągiem sięgnąć dna, by przekonać się, że pod nami jest zatopione przez Trzygłowa miasto. A pytanie, czy gdybyś słuchaczu wytrwale tam szukał, nie znalazłbyś złotych i srebrnych naczyń, którymi posługiwali się mieszkańcy miasta, W i n e t y.

literacko - historyczny lub religijny u przeciętnego człowieka społeczeństwa budzi najwięcej oddźwięku, pozostawiając dwa pierwsze w cieniu lub nawet poza obrębem świadomego odczuwania. Rozważania niniejsze mogą w pewnym stopniu pomóc w analizie celu omawianego kon-

Wnuk Marian: II nagroda (A)

kursu i porównawczej ocenie wysiłku artystów.

Motyw geograficzno - krajobrazowy odgrywał w temacie konkursowym nadzwyczajnie ważną rolę. Bliskie i dalekie perspektywy, rzeźba terenu, drzewostan i przede wszystkim masyw skalny, — wszystkie te czynniki o niewysłowionym pięknie, a nagromadzone w tym miejscu z tak wielkim, wprost wyjątkowym bogactwem linii, barw i form, — mogły być dla artysty motywami nie tylko inspirującymi, lecz także do pewnego stopnia przesądzającymi wytyczne jego głównej linii kompozycyjnej.

Motywy architektoniczne i rzeźbiarskie łączą się tutaj w tak wybitnym stopniu, że może należy w tym doszukiwać się źródła pewnego niezrozumienia u oglądających prace konkursowe osób mniej wyrobionych, które w poszukiwaniu zrozumiałych dla siebie symbolów nie dopatrują się ich w zbyt może prostych, zwartych i abstrakcyjnych skrótach sytetycznych — architektury i rzeźby.

Wszystkie te motywy nasuwały artyście szereg problemów, z których i zwiedzający musi sobie zdać sprawę przed wyrażeniem swego sądu. Wymienimy tutaj najbardziej zasadnicze:

Czy akcent dominujący kompozycji winien stanowić zwieńczenie masywu skalnego i być głównym przedmiotem obserwacji widza z amfiteatru, a jednocześnie celem trasy rozwijającej się uroczystości? Czy akcent ten mógłby być rozegrany na tle skały, a nawet czy zręby jej mogłyby być użyte za sam wątek rzeźbiarski? Czy wnętrze kotliny mieszczącej amfiteatr jest dostatecznie przestronne i jako takie posiada wystarczające rozmiary na skoncentrowanie w niej przebiegu uroczystości i umieszczenie tutaj akcentu dominującego?

Dalszą zasadniczą kwestię stanowi rola czynników architektonicznych i znów nasuwają się pytania:

Czy istniejące samorodne formy przyrody i formy wkomponowane już ręką ludzką nie wypełniają otoczenia w stopniu dostatecznym i czy nie wystarczają one jako tło dla wprowadzenia rzeźbiarskich form plastycznych jako wyobrażenia pożądanego i oczekiwanego tutaj symbolu, czy też należy uznać za konieczne, aby dla uzupełnienia form istniejących akcent dominujący posiadał przeważające cechy dzieła architektury?

I wreszcie w czym uznać należy najodpowiedniejsze wyobrażenie symbolu, — aby był on prostym, zrozumiałym i wzruszającym akordem dla każdej jednostki dziś i w przyszłości.

Przegląd nadesłanych prac narzuca przeświadczenie, że autorzy ich włożyli olbrzymi wysiłek, aby odpowiedzieć na wszystkie te nasuwające się pytania. — Nieomal można przeprowadzić segregację prac według wyszczególnionych wyżej problemów. Sąd konkursowy w swej ocenie dał wyraz temu, że żadna z prac nie łączy w sobie właściwego rozwiązania wszystkich pytań i wobec tego żadna z nich nie zasłużyła sobie na zdecydowane wyróżnienie, jednakże nie można nie przyznać, że przy wysokim — przeciętnie biorąc — poziomie prac nieomal każda z nich w zasadniczym przebiegu przyjętej przez autora linii wytycznej, po której zmierzał do celu stoi nieomal o krok od tego celu oddalona.

Poza wymogami już omówionymi autor projektu pomnika Powstańca Śląskiego musiał sprostać zasadniczym postulatom, z których najtrudniejszy i najbardziej niecodzienny do pokonania był problem zbudowania pomnika w plenerze, a nie w otoczeniu miejskim. Kiedy na ogół otoczenie miejskie odznacza się pewną geometryczną wymiernością, mniej lub więcej regularną, to w omawianym wypadku — zdarzającym się artystom rzeźbiarzom w ich praktyce zawodowej stosunkowo rzadziej — autor natrafiał na specyficzne z natury rzeczy otoczenie, stworzone fantastyczną ręką przyrody o cechach pełnych romantycznego uroku, ale też i pozbawione zasadniczych osi kierunkowych i regularności tak w układzie poziomym jak i w pionowym. Ponadto swoiste prawa pleneru nasuwały konieczność ich uwzględnienia. To też w omawianym konkursie autorzy budujący swą kompozycję na sztywnych układach geometrycznych czy to w kierunku poziomym czy pionowym lub wprowadzający wieloosiowość założenia, dochodzili do rozwiązań kontrastujących w przykry sposób z otoczeniem. Nieuwzględnianie postulatów pleneru występuje nieomal we wszystkich pracach jako zasadnicza trudność niepokonana przez ich autorów.

Usprawiedliwionym wydaje się zatem wyrok Sądu Konkursowego, który zdecydował się nie przyznać żadnej pracy pierwszej nagrody rozdzielając sumę nagród na trzy drugie nagrody i sześć zakupów z podaniem kolejności wyróżnienia. W kolejności tej omówimy pokrótce wyróżnione prace

II.

II. a. nagrodę otrzymała praca oznaczona numerem 211/34. Autorami jej są: art. rzeźb. Marian Wnuk i inż. arch. Stefan Listowski. Autorzy pracy rozwiązują sytuację przez umieszczenie pomnika w kotlinie amfiteatru na miejscu istniejącej obecnie podbudowy dla znicza, dla którego miejsce autorzy obierają, szczęśliwie pod względem sytuacyjnym, ale w formie dość nikłej, na szczycie skały. Umieszczenie pomnika w stosunku do amfiteatru można by uznać za przypadkowe, choć nie pozbawione uzasadnienia (dogodność oglądania dla zebranej u jego stóp publiczności), natomiast sam pomnik w formie słupa walcowego pokrytego silnie zarysowaną płaskorzeźbą daje poważną, monumentalną formą wrażenie siły i prostoty doskonale skontrastowaną z wiotką architekturą uzupełniających pomocniczych zabudowań. Na szczycie monumentu autorzy pomieszczają rzeźbę pełną wyrazu i patosu.

II. b. nagrodę Sąd Konkursowy przyznał pracy oznaczonej numerem 163/20, której autorami są: prof. Ksawery Dunikowski, prof. Władysław Jarocki i arch. Franciszek Mączyński.

Głównym motywem pracy jest olbrzymia w wymiarach płaskorzeźba Łuczników pokrywająca nieomal całkowicie czołową część skały, a mająca stanowić tło sceny amfiteatru. Symbolicznie i rzeźbiarsko płaskorzeźba odpowiadałaby w tym wypadku bardzo szczęśliwie, gdyby nie ryzykowny gest naruszenia skały, która w swym dzikim, naturalnym wyrazie winnaby raczej pozostać w stanie nienaruszonym. Tym bardziej zbytecznymi wydają się rzeźby boczne kariatyd na obustronnych przedłużeniach masywu skalnego. — Umieszczenie wieży nieco w głębi terenu, logicznie usprawiedliwione (by nie stwarzać konkurencji płaskorzeźbie), sytuacyjnie nasuwa jednak duże zastrzeżenia ze względów optycznych.

II. c. nagroda przyznaczona została pracy oznaczonej numerem 66/27. Autorzy: art. rzeźb. Stefan Momot, art. rzeźb. Józef Trenarowski i inż. arch. Władysław Tomaszewski.

Rozwiązanie sytuacyjne we wszystkich szczegółach b. dobre, pełne finezji w zestawieniu form geometrycznych z naturalnymi, mimo skrajnej prostoty poszczególnych elementów. Prymitywna forma samego monumentu jest jednak w swej syntezie architektury i rzeźby bogata pod względem ideowego omówienia w pokrywającej go płaskorzeźbie, której jedyna chyba słaba strona jest zbyt drobna skala i trochę zą płytki reliew. Rzeźby powstańców rozmieszczonych na tle muru oporowego górnej tarasy poprawne, nieco kontrastujące pod względem stylowym z motywami płaskorzeźb na obwodzie monumentu.

Zakupiona praca 102/25 wykonana została przez art. rzeźb. Jerzego Bandurę i inż. arch. Zbigniewa Solawę.

Praca posiada poprawnie zadysponowaną sytuację przy ciekawym rozmieszczeniu pomocniczych budynków. Autorzy poza wyczerpaniem zasadniczego tematu proponują wbudowanie szeregu dużych rzeźb w tło skały, co poza nieprzekonywującym rytmem rozstawienia figur mogłoby być bez szkody pominięte. Element dominujący na skale terenowo wkomponowany dobrze, łączy w sobie walory plastyczne z dobrym rozwiązaniem utylitarnym; jedynie pomysł umieszczenia kaplicy w niskim wnętrzu pod tarasą, rozbitym osiowo przez podstawę pomnika-wieży działa przygnębiająco. Rzeźba formalnie dobrze związana z podstawą, tematycznie i rzeźbiarsko opracowaną zbyt szkicowo. W całości projekt posiada szereg interesujących momentów.

Zakup następny przypadł pracy 106/22, autorami której są: arch. Zygmunt Gawlik i arch. rzeźb. Stanisław Rzecki. W całości projekt wykazuje rzeczowe i staranne podejście do zagadnienia, co daje się odczuć głównie w opracowaniu sytuacji. Natomiast sam moment cechuje pewien konwencjonalizm, reprezentatywność i zbytnie bogactwa oraz rozczłonkowanie form architektonicznych, predestynujące go raczej do otoczenia miejskiego, bardziej uporządkowanego i architektonicznie zbogaconego. Rzeźby poprawne.

Zakupiona praca 93/13 inż. arch. Jana Kruga przy współpracy inż. arch. Romana Manna i Mariana Piątka jest może najbogaciej pod względem architektonicznym rozwinięta przy jednocześnie starannie opracowanej sytuacji całego założenia. Jedynie kształt i proporcje wieży nasuwają wątpliwość z powodu przypadkowego i nieregularnego zarysu rzutu i sylwety. Motyw rzeźbiarski opracowany szkicowo, słabo. W całości odnosi się wrażenie zbytniego nagromadzenia elementów,

Trenarowski i Momot, Warszawa: II nagroda (C)
Foto Kubicki, Katowice.

które nadmiernie zapełniają przestrzeń centralnej części uroczyska.

Zakupiona praca 89/9 art. rzeźb. Edwarda i Moniki Piwowarskich, przeciwnie do poprzedniej pracy, rozwiązuje temat pod względem sytuaycjnym bardzo ubogo i niekompletnie. Element dominujący wieży rozwiązany dwufrontowo, dość sztucznie spełnia dwa przypadające mu z założeń autorów zadanie: momentu optycznego od strony amfiteatru i ołtarza od strony — zupełnie nie rozwiązanej — przestrzeni płaskowyża. Łukowate skrzydła wieży nadają pomnikowi pewnej kierunkowości, która nie została sytuaycjnie dostatecznie uzasadniona.

Następny zakup przypadł pracy 64/26 autorów: art. rzeźb. Józefa Proszowskiego i inż. Czesława Piwowarczyka. Opracowanie sytuaycjne podobne jak w projekcie II. a. nagrody z pewnymi jednak niedomówieniami. Nadmierna wysokość, skądinąd pomnika ustawionego na dnie kotliny na podbudowie znicza, stwarza przykrą konkurencję masywowi skalnemu, a dość ryzykownie rozbija wnętrze kotliny. Koronująca kolumnę dobra postać Nike spełnia w tym układzie form rolę raczej drugorzędną.

Zakupiona praca 105/21 nieujawnionego rzeźbiarza i inżynierów architektów Wandy Wyszyńskiej, Władysława Wieczorkiewicza i Witolda Wyszyńskiego dla usprawiedliwienia ukształtowania pomnika w formie łuku tryumfalnego, stwarza na szczycie skały dość sztuczną trasę pochodu, dzięki której zresztą dochodzi do dość przypadkowego ustawienia łuku w stosunku do amfiteatru, skąd jego sylweta rysowałaby się w sposób uzależniony od stanowiska widza w amfitatrze. Przystawiona obok łuku rzeźba psuje jego proporcje, a sama rzeźba w ruchu zbyt wybujałym budzi wątpliwość pod względem statycznym i przez to traci na monumentalności.

Ten pobieżny przegląd prac wyróżnionych nie zamyka jednak liczby projektów, które mimo braku wyróżnienia przez sąd zasługują na omówienie ze względu na pewne ich wartości. Do takich prac należy np. praca nr. 95/15, która niepowodzenie swoje zawdzięcza niefortunnemu ujęciu: zamknięciu przestrzeni scenicznej amfiteatru nadmiernie zbliżoną do masywu skalnego kolumnadą.

Również prace 91/11, 41/34, 21/35 posiadają jeszcze momenty wartościowe przy bardziej szczegółowym omówieniu konkursu, którego należałoby oczekiwać. Tym bardziej, że wynik konkursu nie przesądził sprawy wyboru projektu do realizacji. Konkurs ostatni i wystawa nadesłanych prac spełniły jednak tę pozytywną rolę, że zwęziły w pewnym sensie kąt patrzenia na sprawę samego pomnika do głównych cech, jakie powinien posiadać.

Xawery Dunikowski, Kraków: II nagroda (B)

Listy z Polskiego Zachodu

Odpowiedź nieknajpiarza

Szczecin, w drugiej połowie maja.

Noc spędzona w knajpie*) **przymusowo** (do tego w towarzystwie drogerzysty i urzędnika magistrackiego) — rzeczywiście może człowieka z równowagi wyprowadzić; zwłaszcza, jeśli ma przed sobą dobę jazdy pociągiem brudnym i natłoczonym. Rozumiem więc **Zbyszko Bednorza** i jego cierpki „list"; rozumiem i częściowo usprawiedliwiam — ale tylko częściowo.

Drogi Panie! W Szczecinie nie tylko są knajpy (jest ich zresztą o wiele — nawet procentowo do ilości mieszkańców — mniej niż w Katowicach). Pewnie — „wódkopijów" wszędzie nie brak — ale...

„Trzeba skończyć z -tym to pionierstwem i z czekaniem i z wędrowaniem i z trzymaniem straży, proszę was. Trzeba się rzeczywiście przyjrzeć ziemi, na którą się przyszło i morzu, na które nie trudno wyjechać (ściślej: wypłynąć) **ze Szczecina statkiem".**

Tak, racja; my tu rzeczywiście **„począwszy od nb. zasłużonego prezydenta Zaremby, który już o swym posłannictwie dziejowym napisał kilka prac."** (poza zbyt może rozlewnym — liryzmem, można w nich znaleźć coś, co się nazywa rzadkim entuzjazmem i sporo cyfr), **aż do małego człowieczka,** jesteśmy **„nasiąknięci uroczystym pionierstwem"** i dzień każdy jest dniem **„czekania na coś jeszcze bardziej uroczystego"...** Np. na to, że plany inwestycyjne (tak szeroko — teoretycznie — uwzględnione na ostatniej sesji KRN) staną się także „ciałem", t. zn. doprowadzi się do stanu używalności stocznie, zdewastowane zakłady przemysłowe — krócej, **że da się pieniądze.**

Wtedy może (nie tylko w wyobraźni kilkudniowych gości) Odra rzeczywiście zaroi się od barek i statków.

Drogi Panie! Lepiejby się stało, gdyby już raczej noc spędził Pan na schodach zburzonego domu (chociaż np. dr. Telega, czy ja, chętnie udzielilibyśmy Panu gościny) niż w owej „knajpie pionierskiej".

Nie usłyszałby Pan wtedy tego, co Pana oburzyło i że „Wiatr od Morza" napisał Sienkiewicz, jak również: „Kazimiero, nalej pani, pod pionierów!"

Natomiast, dowiedziałby się Pan, że Szczecin (którego liczba mieszkańców przekroczyła już 50 tysięcy i wciąż wzrasta) **— nie ma stałego teatru,** że rozgłośnia szczecińska, z braku subwencji, walczy z ogromnymi trudnościami, że żadna (z dwu istniejących) szkół muzycznych nie może być upaństwowiona, że — jednym słowem — dla Szczecina uparcie i konsekwentnie kieszenie t. zw. czynników miarodajnych są chronicznie zamknięte.

Dowiedziałby się Pan także, że Szczecin jest chyba jedynym dziś w Polsce miastem, gdzie nie ma atmosfery zacietrzewienia politycznego, gdzie przedstawiciel Rządu (wojewoda) jest najpopularniejszą postacią (uznawaną i szanowaną także przez opozycję), że Urząd Prop. i Inf. żyje w jak najlepszej komitywie (niebywałe curiosum!) z przedstawicielami ugrupowań politycznych, oraz poważniejszych instytucji.

Że aprowizacja na terenie Pomorza Zachodniego jest fatalna jak nigdzie w kraju, a uposażenia pracowników najniższe...

Że w wodociągach miejskich nie ma ani jednego wykwalifikowanego hydraulika, a przy całej sieci (wymagającej obsługi 150 ludzi) — pracuje 18 (osiemnastu)...

Że drożdżownia tutejsza przechodzi kryzys — bo zamiast udzielenia pomocy oczekiwany jest wywóz urządzeń fabrycznych w głąb kraju.

„Prowizoryczność" i „rezerwa", z jaką kraj podchodzi do (dla nas oczywistych) granic zachodnich — nie ułatwia sytuacji.

Mówi Pan: „nie wyobrażajcie sobie, że tą pracą i niepracą zbudujecie cokolwiek w oddaleniu od treści historycznej i kulturalnej tej ziemi... trzeba samemu dziś zamilknąć, by się wsłuchać jak będzie mówiła owa zapisana w księdze szczecińskiej w średniowieczu domina Machtildis slavica". Wolno się Panu wsłuchiwać w Katowicach; my tutaj **„pracą i niepracą"** robimy coś konkretniejszego — **i wcale nie w oddaleniu od treści historycznej i kulturalnej.**

Zamiast jednostronnej korespondencji z knajpiarzem — czy nie lepiej np. poruszyć sprawy „ustatycznienia" osadników tutejszych, t. zn. sprawy dekretu o prawie własności i prawie rozporządzenia majątkiem, będącym dotychczas w powiernictwie, względnie w tymczasowym zarządzie? Dekret taki coprawda ukazał się (Dziennik Ustaw nr. 13) — ale nie wydano rozporządzenia wykonawczego.

Ludzi tu osiedlonych dekret ten na pewno bardziej związałby z ziemią, niż jakiekolwiek „wsłuchiwanie się".

W Szczecinie nie tylko kwitną magnolie.

Stanisław Ostrowski

*) Por. art. Zbyszka Bednorza „List do knajpiarza szczecińskiego" w nr. 14 „Odry"

Sprawy teatru

Nowy problem

Żebyśmy nie wiem jak się uparli, aby znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla zupełnie niezrozumiałych i karkołomnych poczynań dyrekcji Teatru Śląskiego, musimy po każdym jej nowym „wyczynie" kapitulować wobec szlachetnych a bezskutecznych wysiłków „dobrej woli".

Zamiast, korzystając z pozytywnego i wybaczającego więcej niż należało stosunku krytyki do teatru, przyjąć jej uwagi i rady, dyrekcja ignorowała je i broiła w dalszym ciągu, zachowując pretensje do utyskujących recenzentów.

Jakże tu nie utyskiwać, kiedy wysłuchawszy jeszcze w styczniu żalów na czynniki oficjalne nie wykazujące zrozumienia dla walczącego z początkowymi trudnościami teatru i zapewnień rychłej zmiany na lepsze (imponujące zwłaszcza były tytuły projektowanych spektakli) udziela się dyrekcji zaufania „na kredyt", aby w rezultacie obserwować konsekwentne obniżanie poziomu artystycznego, aż do granic — wyrażając się oględnie — pospolitości.

A przecież nie może być rzeczą obojętną, jaki mamy i będziemy mieli teatr, zwłaszcza w tak specyficznym układzie stosunków kulturalnych, jakie istnieją na Śląsku.

Zastanawiając się nad przyczynami tego stanu, musimy niestety całą winę złożyć na kierownictwo literackie i artystyczne, które od paru miesięcy nie daje o sobie, w wynikach pracy, najmniejszego znaku życia. Figurowanie na afiszu to trochę za mało. Wina dyrekcji polega z całą pewnością na dwóch grzechach. Pierwszy, świadomy to — zachłanność, każąca myśleć więcej o kasie niż o poziomie przedstawień; drugi, raczej nieświadomy ale równie ciężki, to pewne niekompetencje... Do pierwszego grzechu przyznał się (dodam lojalnie, że ze skruchą) dyrektor w styczniowej rozmowie prasowej, motywując go uszczupleniem subwencji; drugiego nie potrzeba uzasadniać, wystarczy chodzić do teatru.

Dlaczego, z pośród całej literatury dramatycznej wszystkich czasów i krajów wybrano właśnie „Moją siostrę", „Jak w bajce", „Krawca w zamku", „Jasona" i „Szkarłatne róże", tego nie potrafię zrozumieć. Czy jest ktoś, poza miejscowym poliglotą i uniwersalnym reżyserem, autorem, tłumaczem i muzykiem p. W.Krzemińskim (nie mieszać z dyrygentem o podobnym nazwisku) kto orientuje się coś niecoś w repertuarze? Wiemy, że jest w bibliotece na trzecim piętrze dr. Jerzy Koller, ale wiemy również, że nikt go o zdanie nie pyta.

A przecież trzeba pogodzić się z faktami. Trzeba zrozumieć, że raz puszczona w ruch fabryczka p. Krzemińskiego, pracująca bez przerwy od zimy, produkuje bezwartościowe „ersatze" i mimo, że przynosi materialny dochód, po wypuszczeniu pierwszego fabrykatu zrobiła artystyczną plajtę. Kierowanie teatrem nie polega na znajomości pewnych oklepanych frazesów w rodzaju takiego jak n. p.: „ludziska lubią się pośmiać, trzeba im to ułatwić". I ułatwia im się to w ten sposób, że pokazuje się im kawał sera, czy... cytryny. Zły smak pewnej części widowni nie powinien trywializować sceny. Rola teatru polega na czymś innym.

„Mała Scena" zaczyna już dziś, po drugiej premierze stanowić osobny problem.

— Ale co to wszystko ma wspólnego — mógłby ktoś zapytać — ze „Szkarłatnymi różami"? Bardzo wiele, albowiem jest to grunt, na którym owe „Szkarłatne róże" wyrosły.

Wszyscy, nie wyłączając woźnego teatru, wiedzieli, że „Jason" nie pójdzie dłużej jak tydzień. Po tygodniu „Jason" był zmuszony opuścić afisz, którym pies z kulawą nogą nie chciał się zainteresować. Zrobiła się, że tak powiem, dziura, tym większa, że część zespołu pojechała do Wrocławia z „Wieczorem Trzech Króli". Co było robić? Zwrócono się do niezastąpionego p. Krzemińskiego, który z kolei przypomniał sobie, że jest taka komedia Benedettiego p. t. „Szkarłatne Róże", która z fantastycznym powodzeniem szła w Warszawie ponad pół roku w okresie przedpowstaniowym. Siadł, przetłumaczył jeszcze raz, co uczyniwszy wystawił na „Małej Scenie", zatykając tym samym dziurę.

Nie mielibyśmy w stosunku do wyboru tej naiwnej psychologicznie ale miłej i scenicznej (to ważne) komedyjki większych zastrzeżeń, może nawet podobała by się nam, może recenzję z niej napisalibyśmy pod zupełnie innym aspektem, gdyby p. Brochocka zagrała w akcie pierwszym i drugim tak dobrze, jak to uczyniła w ostatnim; gdyby p. Winczewski nie operował tak prowincjonalnym efekciarstwem mimiki i gestu (publiczka to lubi, wiem) i gdyby p. Sperczyński nie starał się naśladować Dymszy oraz poznał i opanował podstawowe zasady dykcji.

Bogdan Butryńczuk

P. S. Nie miałbym pretensji do p. Krzemińskiego gdyby zabrał się do tłumaczenia a nawet pisania na nowo „Iliady". Ale „Szkarłatne Róże"? Naprawdę szkoda energii.

P. S. Ciekaw jestem, co każą nam oklaskiwać za tydzień na „Małej Scenie"? R

„Madame Sans Gene" w Opolu. W roli tytułowej I. Carnero, w roli Napoleona — Ścibor.

Fot. Kornicki, Opole.

Patrzymy na ekran

Po raz pierwszy musimy sprzeniewierzyć się własnemu tytułowi. Patrzymy, co prawda stale na ekran, ale ostatnio tak mało ciekawego na nim widzimy, że po prostu nie ma o czym pisać. Jest, co trzeba lojalnie podkreślić, wznowienie fenomenalnego filmu angielskiego: „Zajazd na rozdrożu" (kino „Union"), którego prawdziwy tytuł, „Dom w połowie drogi", został nie wiadomo dlaczego zniekształcony, — ale na tym koniec. W kinie „Casino" wchodzi na ekran amerykański film starszej daty: „Sama przez życie". Nie wychodzi on jednak ani na włos po za przeciętność.

Z ostatnio w Katowicach wyświetlanych filmów wymienić jeszcze należy obraz, produkcji sowieckiej „Kwiat miłości" w kinie „Słońce". Egzotyczna tematyka i dobra reżyseria sprawiają tu wiele przyjemności widzowi, pragnącemu oglądnąć średniowieczną, uzbecką bajkę. Aktorzy jednak, tym razem niezbyt dopisali — tak, że zainteresowanie nasze idzie raczej w kierunku dokumentarnych niż artystycznych wartości tego filmu.

Dnia 7 czerwca odbył się w kinie „Rialto" pokaz powojennego filmu anglo-amerykańskiego pt. „True Glory" („Prawdziwa sława"). Zanim omówimy sam film, chcieliśmy w paru słowach scharakteryzować współczesne, anglosaskie problemy kinowe. — Otóż angielska produkcja filmowa, przed wojną jedna z nienajlepszych, dzisiaj — dzięki olbrzymiej samodzielnej pracy podczas wojny wybiła się na jedno z pierwszych miejsc. Angielskich producentów filmowych wojna bardzo wiele nauczyła tak w odniesieniu do teorii jak i opłacalności dobrego filmu. Nic tedy dziwnego, że po wojnie stanęli oni twardo na własnych nogach a nawet wystąpili do walki z dotychczasowym prymatem produkcji amerykańskiej. Ostatnio zjazd angielskiego związku producentów filmowych uchwalił rezolucję domagającą się 200 premier minimum rocznej produkcji filmu rodzimego. Rezolucja domaga się poza tym prawa przeciwstawienia się produkcji amerykańskich filmów w brytyjskich studios filmowych. Nawiasem powiedziawszy, na zjazd ten przybyli z poza Anglii zaproszeni delegaci przemysłu filmowego innych państw europejskich. Nic nam natomiast nie wiadomo o tym, żeby polska delegacja również w tej konferencji uczestniczyła. Rozstrzygano zaś tam wiele ciekawych problemów, m. in. sprawę artystycznych wymagań filmu dla dzieci, artystyczną kontrolę jakości filmów sprowadzanych z zagranicy itd. Czekamy w tej sprawie na wyjaśnienie.

Jeżeli chodzi o wartość brytyjskich filmów wyprodukowanych po wojnie, to zobaczymy jak wygląda ona w oczach samych Anglików. Oto za najlepszy film uznano w Anglii „Drogę do gwiazd", w reżyserii Anthony Asquith. Na następnych miejscach z kolei ulokowały się filmy: „Były to siostry", „Szczęśliwe pokolenie", „Droga wiedzie naprzód" oraz „Niebezpieczne światło księżyca". Wszystkie nie znane u nas. Natomiast za najwybitniejszego aktora filmowego Anglii uznano Jamesa Masona a z kobiet: Margaret Lockwood. Oboje nie występują w filmach, które oglądaliśmy w Katowicach. Natomiast znany u nas (nie żyjący już zresztą) aktor i reżyser filmowy Leslie Howard (niezapomniany bohater „Romea i Julii", „Skamieniałego lasu" oraz „Nieuchwytnego Smitha") — w opinii angielskiej znazł się dopiero na szóstym miejscu.

Na zakończenie jeszcze nieco o wspomnianym już filmie „True Glory". Wyświetlono go tylko dla zaproszonych gości i prasy. Jest to wstrząsający w swej bezpośredniości, diartusz Wielkiego Dnia Aliantów na zachodzie: Inwazji. Film ten ma dwa aspekty. Jeden — to radosne przeżycie klęski bezlitosnego okupanta. Drugim jednak aspektem i to bynajmniej nie zamierzonym jest zapierający dech **autentyzm** tej gmatwaniny stali, ognia i jakżeż kruchego i bezbronnego w tym wszystkim a jak sponiewieranego — człowieka. I dlatego bijemy spontanicznie brawo dumnym chłopcom, naszym i innym, idącym ku zwycięstwu od wszystkich zakątków świata, bijemy brawo i ich Wodzom. Szczerze i serdecznie. Ale...

Ale nie bardzo stać nas na uśmiech, gdy zabłysną światła. Zbyt niedawno przeżyliśmy wojnę...

Alba.

NAKŁADEM SPÓŁDZ. WYDAWNICZEJ

»CZYTELNIK«

ukazały się następujące nowości:

Asseredobraj N. — POCZĄTKI KLASY ROBOTNICZEJ. Problem rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej . . . . . 200,—

Bromirska A. — SZKOŁA NA HARMONIĘ (akordeon). Nuty . . . 250,—

Broniewska J. — SZLAKIEM I-szej ARMII. Zbiór reportaży . . . 80,—

Chałaciński J. — SPOŁECZNA GENEALOGIA INTELIGENCJI POLSKIEJ . . . . . 60,—

Chrzanowski J. — JOACHIM LELEWEL. Człowiek i pisarz. Wstęp St. Pigonia . . . . . 140,—

Dąbrowska M. — LUDZIE STAMTĄD. Cykl opowieści. Wyd. 3. . . 120,—

Leśnodorski B. — KONSTYTUCJA 3-go MAJA, JAKO DOKUMENT OŚWIECENIA . . . . . 25,—

Olcha A. — NOWA NAPRAWA. Opowieść o chłopskim czynie na Ziemiach Zachodnich . . . . . 80,—

Ostrowski A. — HUGO KOŁŁĄTAJ ,OJCIEC DEMOKRACJI POLSKIEJ . . . . . 35,—

Pająk J. — PASZA W GOSPODARSTWIE. Biblioteka roln. „Czytelnika" 70,—

Szołochow M. — CICHY DON. Wyd 2. Część I. . . . . 100,—

Szołochow M. — CICHY DON. Wyd. 2. Część II. . . . . 120,—

Zaliwski S. — KRZEWY OWOCOWE. Biblioteka Samopomocy Chłopskiej Nr 2 . . . . . 25,—

Żeromski S. — PRZEDWIOŚNIE. 200,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Glossy i notatki

„ARKUSZ ŚLĄSKI"

Katowicki Oddział Związku Zaw. Literatów, mający za sobą rok pracy w nowych powojennych warunkach, przystępuje w najbliższym okresie do zapoczątkowania akcji wydawniczej. Oznacza to częściowo zmianę dotychczasowego kierunku pracy, polegającego wyłącznie niemal na organizowaniu publicznych imprez literackich. Jak obserwacja tych imprez wykazała, spełniają one swój cel w niewielkim tylko stopniu. Uczęszcza na nie stale z małymi odchyleniami to samo niewielkie grono widzów, wypróbowanych miłośników literatury. Koszty tych imprez są duże (afisz kosztuje około 10 zł. za sztukę, wylepienie jednego afisza 5 zł., do tego dochodzą jeszcze inne drobniejsze koszty oraz honoraria autorów i wykonawców). Jak wykazuje przeprowadzona przez ZZLP kalkulacja, do każdego słuchacza, który zjawia się na wieczorze literackim, ZZLP dppłaca gładko 50 do 100 zł, zależnie od frekwencji. Wpływy kasowe nie zrównoważyły wydatków na żadnej dotychczasowej imprezie. A przecież w 38 tych imprezach zorganizowanych w ciągu roku pracy na Śląsku Górnym, Cieszyńskim, Opolskim i Dolnym wystąpili m. in. J. Iwaszkiewicz, J. Przyboś, W. Bąk, J. Andrzejewski, K. Wyka, J. E. Płomieński.

Nic więc dziwnego, że literaci postanowili zmniejszyć ilość kilkudziesięciozłotowych prezentów dla słuchaczy wieczorów literackich i pieniądze w ten sposób zaoszczędzone przeznaczyć na tanie i dobre wydawnictwa. Dzięki temu powstał projekt „Arkusza Śląskiego". Będzie to wydawnictwo seryjne, obejmujące jeden arkusz druku, wyposażone w staranną szatę graficzną, którą zaopiekują się katowiccy plastycy z prezesem J. Mroszczakiem na czele. Każdy „arkusz" poświęcony będzie zasadniczo jednemu poecie, prozaikowi lub jednemu zagadnieniu. Głównym jego celem będzie przyjście z pomocą tym członkom ZZLP, którzy mają trudności wydawnicze, a celem szerszym — zobrazowanie całości śląskiego środowiska literackiego przez publikację najbardziej charakterystycznych i najlepszych utworów osiadłych tutaj pisarzy. Część nakładu każdego „arkusza" ZZLP przeznaczy na dar dla śląskich szkół średnich. Pierwszy „arkusz" obejmie najnowsze wiersze Jana Baranowicza. Ukaże się on w ciągu najbliższych dwóch tygodni. W przygotowaniu są dwa arkusze dębiutanckie: Aleksandra Widery i Władysławy Szkaradkówny.

Podstawę finansową tego wydawnictwa mają tworzyć dochody z kawiarni „U literatów", prowadzonej przez ZZLP w Katowicach. Ale podobno lokal ten ma być literatom odebrany i przekazany Związkowi Inwalidów. Jeśli tak się stanie, to tylko chyba dlatego, że: a) Zw. Inwalidów nie może sobie zapewnić innych dochodów poza tymi, które odbierze literatom, b) dochody z lokali prywatnych, położonych przy ul. Mariackiej, Dyrekcyjnej, Dworcowej, Plebiscytowej, przy Rynku i w innych, nieuczęszczanych miejscach są dla tego Związku za małe.

Poza „Arkuszem Śląskim", Związek Literatów przystąpił do opracowania „Rocznika Kulturalnego Śląska", dającego co rok obraz życia kulturalnego na ziemiach całego Śląska. Pierwszy tom tego wydawnictwa pomyślanego jako periodyk roczny ma objąć lata 1945—1946.

NAJBLIŻSZE KSIĄŻKI

W najbliższym czasie ukaże się kilka książek literatów skupionych na Śląsu. Przede wszystkim na półkach księgarskich znajduje się już wydanie drugie „Przednówka" Pawła Kubisza, uzupełnione kilkoma nowymi wierszami, ilustrowane przez artystę polskiego zza Olzy Franciszka Świdra. Wojciech Żukrowski zadebiutuje za kilka dni pierwszą książką, którą będzie zbiór opowiadań z lat 1939—1945 pt. „Z kraju milczenia". Równocześnie ma się ukazać jego powieść dla dzieci pt. „Porwanie w Tiutjurlistanie". Zbyszko Bednorz wydaje tomik wierszy jako druk bibliofilski w serii Jana Kuglina. Wilhelm Szewczyk dał do druku szkic „Pisarze śląscy 19-go i 20-go wieku". Zdzisław Hierowski opracował antologię poezji i pieśni pt. „Śląsk walczący", która wyjdzie przed końcem czerwca nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach. W druku znajduje się dramat Kazimierza Golby „Lompa" w serii wydawnictw „Współcześni pisarze Śląska". Najbliższy okres przynisie również „powieść awanturniczą" Aleksandra Baumgardtena i Józefa Prutkowskiego pt. „Szukamy pana H." oraz wznowienie kilku powieści Krystyna T. Wanda.

CZYTAMY PRASĘ

Zagadnienia zachodniej Polski i sprawy niemieckie znajdują coraz żywsze odzwierciadlenie w opinii polskiej. Przekonuje nas o tym lektura gazet i czasopism różnych odcieni politycznych i różnych zabarwień światopoglądowych. Natężenie wypowiedzi, omówień, sądów i postulatów odnośnie tych zagadnień nie wynika bynajmniej z żadnego nakazu urzędowych ośrodków propagandy w Polsce. Jest to zjawisko naturalne w okresie zbliżającej się konferencji pokojowej tudzież w okresie referendum ludowego, mającego m. in. przynieść głos całego narodu co do naszych granic nad Bałtykiem, Odrą i Nysę Łużycką. W tym bardzo ważnym momencie w dziejach naszego Państwa trzeba na wiele rzeczy patrzeć właśnie od strony spraw zachodnich, poprostu z perspektywy Odry.

Próbę takiego spojrzenia na wiele zagadnień bieżącej polityki wewnętrznej i zewnętrznej Polski dał w nr. 60 „Przekroju" Jerzy Zagórski w artykule p. t. „W świetle rozwagi". Przyznając, że natchnęła go do tego rodzaju podejścia owa stała rubryka w naszym tygodniku, w której — na stronie tytułowej z prawego brzegu — wypowiadamy nasze credo o nadodrzańskiej i nadmorskiej Polsce, pisze Zagórski:

„Codzienne nasze swary i debaty „z perspektywy Odry" tracą swój wymiar i rzeczy olbrzymie nad Wisłą mają lilipuci wymiar nad Odrą, a rzeczy nad Wisłą drugorzędne — nad Odrą wysuwają się na pierwszy plan. Rozważmy kilka spraw dla przykładu".

Analizując zagadnienie naszej polityki zagranicznej z tego właśnie punktu widzenia, powiada:

„Sprawy naszej polityki zagranicznej, a specjalnie stosunku do Rosji też mają inny odcień w perspektywie Odry. Jeśli Stalin w jednym ze swych oświadczeń rzekł, że pragnie, aby Polacy osądzili politykę radziecką nie po słowach, lecz po czynach, które nastąpią, jeśli my z drugiej strony na ołtarzu pokoju światowego, a specjalnie słowiańskiej zgody, złożyliśmy poważne ofiary w postaci Lwowa i Wilna — to sprawa stosunków polsko-radzieckich w perspektywie Wisły streszcza się przede wszystkim do wynalezienia form sąsiedzkiego współżycia i zgody.

W perspektywie Odry ta rzecz wygląda poważniej. Tu widać wyraźnie jak nie tylko dla nas, dla naszego utrzymania linji granicznej z Niemcami jest potrzebne poparcie Związku Radzieckiego, ale i jak my możemy być potrzebni Rosjanom. Rosjanie nie należą do ludzi, którzy zbyt ufają innym. Zawsze najbardziej ufają sobie. W czasie ostatniej wojny Ojczyznianej, pod Leningradem i Stalingradem oddziały złożone z Wielkorosjan okazywały się najbardziej niezawodne w najtrudniejszym okresie wojny. Ale wartę przed Niemcami, któryż z pozostałych słowiańskich narodów potrafi trzymać w sposób bardziej niezłomny, niż Polacy? Narody mogą zawieść siebie nawzajem. Polacy jednak nie zawiodą gdyby wyrósł znów naprzeciw las wojsk niemieckich.

Dziennik wrocławski „Pionier" w swym co tygodniowym dodatku niedzielnym przynosi zwykle sporo materiału kulturalnego z Dolnego Śląska. Ostatnio dr Stefan Kuczyński przypomina na łamach tego dodatku postać profesora Nehringa, znakomitego uczonego polskiego, wykładającego szereg długich lat na uniwersytecie wrocławskim pod kokniec XIX i na początku XX wieku.

W cytowanym artykule czytamy: „Prof. Nehring zmarł w 1909 roku. Oznacza to, że w przeszłości nie tak bardzo dalekiej, bo objętej jeszcze pamięcią dzisiaj żyjących Wrocław, ze swym uniwersytetem był ożywionym ośrodkiem kultury polskiej o bardzo szerokim zasięgu, nie zaś jakimś małym, przypadkowym zbiorowiskiem tolerowanych przez „wielkodusznych Niemców" jednostek polskich. Środowisko to mogło mieć takie powodzenie tylko dlatego, że zakorzeniło się ono w podatnym gruncie, zamieszkałym przez szerokie rzesze Polaków-autochtonów, że Polonia wrocławska nie zawsze była rynkiem zbytu dla nauki i wiedzy z Polski „kongresowej" lub „zaboru austriackiego", lecz zasilała własną pracą kulturalną całą Polskę. W tym właśnie upatruję dziejowo uzasadnione prawa nasze do zachodnich ziem piastowskich: Prawda dziejowa wyzwala. Pamiętajmy o tym, gdy smutne dziś ruiny Wrocławia śpiewają wielkość polskej przeszłości miasta". Wielkokści polskiego Wrocławia nie szukajmy jednak tylko w przeszłości, a zwłaszcza w ruinach. Tytuł do niej zdobywa dziś, to szczególnie ukochane przez nas miasto, codzienną szarą pracą. Także taką pracą jak intensywne usuwanie gruzów, dokonywane ostatnio rękami studentów i ciała profesorskiego Uniwersytetu i Politechniki wrocławskiej.

Bardzo ciekawy artykuł o naszych możliwościach w Przemyśle Ziem Odzyskanych przynosi Z. A. P. Warto przyjrzeć się bliżej poszczególnym działom wytwórczości.

W przemyśle chemicznym zatrudnionych jest 4.500 osób, co stanowi 1/5 cyfry ogólno-polskiej. W cukrowniczym 5.850 — 1/3 zatrudnienia ogólno-polskiego. W drzewnym 3.000 — 1/3 zatrudnienia ogólnopolskiego, elektrotechnicznym 610 — 1/15 ogólnopolskiego, energetycznym 7.700 — 1/4 ogólno-polskiego, hutniczym 20 tys. — 1/4 ogólno-polskiego. materiałów budowlanych 5.450 — 1/5 ogólno-polskiego.

W przemyśle metalowym na ogólną liczbę 66.800 zatrudnionych 8.717, a więc z górą 1/8, przypada na Ziemie Odzyskane.

W przemyśle papierniczym na nowych ziemiach zatrudnionych jest 4.255 pracowników, co stanowi blisko 1/3 zatrudnienia ogólno-polskiego. Analogiczne cyfry dają dla przemysłu skórzanego 2.123 — 1/6 zatrudnenia ogólno-polskiego. węglowego 72.696 — z górą 1/3, włókienniczego 27.872 — 1/6. Ogółem liczba zatrudnionych w dużym przemyśle na Ziemiach Odzyskanych wynosi 162.664 osoby.

Te dane stanowią dowód, że produktywność Ziem Odzyskanych jest nie tylko mirażem naszych, na daleką metę obliczonych możliwości, lecz to czynnik realny obliczalny, a nieraz dorobek, zawstydzający resztę kraju". Wsystkie te branże przemysłowe łącznie, mimo tego wysokiego już procentu zatrudnienia, cierpią dotkliwie na brak jeszcze koło 50 tys. ludzi.

Stefan Papee charakteryzuje w nr. 22. „Odrodzenia" (z dn. 2. VI. 46) postać Bernarda Chrzanowskiego, zmarłego w Konstancinie w r. 1944 po tragicznych przeżyciach warszawskiego powstania. Ten „szlachetny inspirator" polskiego wybrzeża, ten niestrudzony budziciel społeczeństwa w sprawach morza, autor setek artykułów i prac, w niejednym także wpłynął na Sienkiewicza, Tadeusza Micińskiego, Konopnicką, a zwłaszcza na Żeromskiego, by pisarze ci wprowadzili w swoje dzieła motywy pomorskie i bałtyckie. Bernard Chrzanowski krzewił zainteresowania motywami morskimi i kaszubskimi nie tylko wśród ludzi literatury, ale także wśród muzyków, malarzy, dziennikarzy i ludzi nauki. Papee pisze: „Generalny-gubernator niemiecki w Warszawie zabronił w 1917 r. rozpowszechniania zbiórki Chrzanowskiego „Z wybrzeża i o wybrzeżu", jako zagrażające całego cesarstwa. Chrzanowski, jako długoletni poseł miasta Poznania do parlamentu niemieckiego, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, czym znów naraził się zwalczanemu od lat rządowi. Tak, on rzeczywiście całą swą działalnością i jako adwokat i jako poseł i jako oświatowiec i jako organizator życia młodzieży pod pruskim zaborem, wreszcie jako „Chałubiński polskiego wybrzeża", bo tak nazwano, zmierzał niezmordowanie do tego, aby mógł na koniec w pierwszym numerze „Strażnicy Zachodniej" napisać: „Dostęp do morza mamy własny..." Dobrze się stało, że Stefan Papee przypomniał nam dzisiaj postać tego rzeczywistego pioniera Polski morskiej.

Co robią Niemcy

„Minął rok od chwili, w której pokonane Niemcy weszły na drogę demokracji" — tak zaczęło się przemówienie dra Schumachera, socjaldemokraty, w rocznicę zakończenia wojny. Trudno, każdy na swój sposób święcił święto pokoju. Uroczyste słowa Schumachera, chcące zwiastować wszystkim narodom nową epokę w Niemczech, nikogo nie przekonają, tym więcej, że zbiegły się one z oświadczeniem innego znawcy Nemców, gen. J. T. Mc Narney'a, dowódcy wojsk amerykańskich w Europie, który stwierdził, **że „do dziś brak dowodów, by Niemcy posiedli choćby podstawowe zrozumienie demokracji".** Mamy zatem dwie enuncjacje i dwie polityki, tamci, Niemcy, usiłują wmówić nnym, że już posiedli i wprowadzili w życie demokrację, ci — okupanci, stwierdzają chłodno, że daleko jeszcze Niemcom do demokracji. Na nieszczęście tych pierwszych, hipokrytów, jest więcej, bo siedemdziesiąt blisko milionów, tych drugich zaś maleńka garstka zaledwie, tysiąca osób może nawet nie licząca. Dzięki temu bilans pierwszego roku okupacji Niemiec przedstawa się niezbyt optymistycznie dla pokoju świata. **Niemcy nie zostały rozbrojone — ani militarnie** (wbrew temu, co pisze „The Stars and Stripes" z dnia 8 maja 1946, cyt. w nowym biuletynie zagr. ZAP-u) **ani tym więcej duchowo.**

Zachodni anglosascy okupanci narzekają na Francję, że to ona uniemożliwia w należyty sposób przeprowadzić kontrolę Niemiec. „Francuskie żądania internacjonalizacji Zagłębia Ruhry oraz oddzielenie zarówno Ruhry jak Saary od Niemiec uniemożliwiły całkowicie innym aliantom stworzenie aparatu administrującego Rzeszę jako jedność gospodarczą" — pisze „The Stars an Stripes". Część winy składa się także na Polskę. „Bałagan i zamieszanie w polityce demograficznej i gospodarczej Niemiec spowodowały także nieuregulowane wysiedlania Niemców przez Polskę" — czytamy w „Daily Express". To jeszcze nie koniec składania win na kogo innego. Zachodni okupanci oskarżają Rosję o rzekome wyłamywanie się spod jednolitego programu politycznego dla Niemiec przez takie np. łączenie partii, jakie nastąpiło w Berlinie, w jedno stronnictwo polityczne. **Rozumni** Anglosasi pojmują, że bilans okupacyjny minionego roku nie przedstawia się przyjemnie i dlatego trzeba szukać na gwałt powodów, które się do tego przyczyniły. Że ich nie szuka się u siebie, to zrozumiałe. Inna rzecz, że ta właśnie metoda gmatwa ostateczny sąd, uniemożliwia jasne sprecyzowanie winy.

Co się zrobiło w Niemczech? **Rozbudowało się administrację, nie próbując zmienić jej ducha,** co było trudne, skoro musiano ją oprzeć na pruskich biurokratach. **Otworzyło się pochopnie wyższe szkoły, nie zastanowiwszy się przed tym, jakie reformy trzeba będzie wprowadzić do nauczania w Niemczech. Pozwoliło się wydawać książki, nie wychowawszy poprzednio nowego pokolenia pisarzy i publicystów niemieckich w nowym klimacie ideowo-politycznym. Zaczęto likwidować przemysł, by w połowie drogi przekonać się, że to prowadzi do bezrobocia i głodu w Niemczech.** Ba, jeśli chodzi o koncepcję gospodarczą nowych Niemiec, to w tej dziedzinie panował i panuje bałagan największy bodaj. Oscylacja między rosyjskimi koncepcjami antykapitalistycznymi i nawet cząstkującymi a zachodnimi pomysłami całkującymi w sensie kapitalistycznym — nie przyczyniła się do zgody i jakichś realnych osiągnięć na tym polu. Korzystali z tego Niemcy, wymykający się w ten sposób najłatwiej spod kontroli. **Z wielkim hukiem i trąbieniem rozpoczęto denazyfikację w Niemczech. Dziś okazało się, że plan całkowicie się nie udał.** W zachodnich strefach okupacyjnych hitlerowcy siedzą po dziś dzień na czołowych nieraz stanowiskach w partiach i administracji publicznej, a w radzieckiej strefie nie brak ich pod opiekuńczymi skrzydłami partii komunistycznej, z czego, jak wnioskować można, **zdają sobie sprawę radzieckie władze okupacyjne,** wyławiające od czasu do czasu z szeregów partyjnych, ukrywających się gagatków. Klasyczne przykłady ukrywania się w szeregach komunistów niemieckich, znanych szowinistów, a nawet zbrodniarzy wojennych wykazują **Łużyce, gdzie nadal prowadzona jest polityka skrajnego nacjonalizmu, germanizacji i nienawiści do Słowian.**

Oto garść szczegółów z Łużyc, o których tak wiele i tak mętnie pisze się w prasie poslkiej. Szanowni publicyści, prosimy bardzo, spójrzcie nareszcie prawdzie w oczy i napiszcie nareszcie mniej o historii a zacytujcie tę parę nieprawdopodobnych przykładów z życia tragicznego szczepu Łużyczan. Takie jest ich dzisiaj.

Zaczniemy od rzeczy starszych. Pisaliśmy w zimie o wycieczce dziennikarzy amerykańskich i angielskich na Łużyce, w wyniku której dziennikarz Lindley Fraser popisał nieprawdopodobne bzdury na temat łużyckich pragnień narodowych. Dziś dowiadujemy się rewelacyjnej rzeczy, że w dniu, w którym zagraniczna wycieczka przybyła do Budziszyna, wszyscy czołowi działacze łużyccy ze starostą budziszyńskim, p. Cyżem i prezesem Domowiny, p. Nedem, zawezwani zostali w ważnej sprawie do Drezna. Nie było zatem nikogo z kierowników narodu łużyckiego, z kim by zagraniczni dziennikarze mogli porozmawiać o przyszłości i pragnieniach swego narodu. Rozmawiali z Niemcami i ich wypowiedzi podawali za wypowiedzi Łużyczan. Wiedzcie dalej, że po dziś dzień nie wyszła na Łużycach ani jedna książka łużycka, nawet szkolna, ani jeden numer zapowiadanej dawno gazety. Natomiast w Budziszynie wychodzi pismo niemieckie pt. „Lausitzer Rundschau", która niedawno zamieściła na ostatniej stronie artykuł „Das Sorbentum", wysuwając wczesnohitlerowską koncepcję stworzenia z Łużyczan żywego muzeum, marynowanego dla ciekawych gości, do oglądania za opłatami oczywiście. Toż to są kpiny z żywego męczeńskiego narodu, kpiny smarkatych na HJ-owych ewangelistach wychowanych dziennikakrzy.

Jest policja niemiecka, nie ma w niej Łużyczan poza c z t e r e m a (dosłownie) niższymi funkcjonariuszami w Budziszynie. Wywalczyli Łużyczanie prawo do dwujęzycznych nazw miejscowości u granic tychże. Tymczasem wokoło Budziszyna zaledwie kilka wsi ma tablicę z napisem łużyckim, reszta sabotowana jest w sposób oczywisty. Celuje w tym starosta wojerecki (Hoyerswerda) Werner, który legitymując się listem od miejscowego komendanta wojskowego stwierdza cynicznie, że Łużyczanie na tyle umieją po niemiecku, by ograniczyć się do niemieckich nazw miejscowych na tablicach.

Wszystko, co się wydaje, wydawane jest na powielaczu, do cenzury wojskowej trzeba wszystko nieść przetłumaczone na język niemiecki, co obraża uczucia narodowe Łużyczan — nie ma niestety w cenzurze budziszyńskiej nikogo, kto by umiał po łużycku, aczkolwiek jest to również język słowiański. Pierwsza książka łużycka, jaka się ukazała, a mianowicie kalendarz „Protyka" nie uzyskała dotąd zezwolenia na kolportaż na terenie Łużyc i cały nakład od kilku miesięcy spoczywa w Pradze czeskiej. Pojedyńcze egzemplarze szmuglowane są na Łużyce jako najdroższa kontrabanda ducha. W „Protyce" znajduje się piękny przekład „Latarnika" Sienkiewicza. Ma Budziszyn biskupa, naturalnie Niemca, jest nim otyły Peter Legge, otoczony kapłanami, którzy należeli do partii!!! A tymczasem posiadają Łużyczanie khróścickiego fararza Jana Wienkę, który ma wszelkie dane po temu, by zostać biskupem Łużyc. Polskie władze kościelne winny się o tę sprawę w Rzymie upomnieć, pisma katolickie w Polsce prosimy o przedrukowanie i skomentowanie tej sprawy. I jeszcze raz, na zakończenie tej smutnej porcji, niemiecki Landrat Wojerec Werner, który rozsyła tajne okólniki do swych podwładnych, aby urabiali żołnierzy sowieckich w kierunku negatywnego ustosunkowywania się do Łużyczan. Z treścią okólnika zapoznali nas życzliwi Polsce Łużyczanie.

Uff, to chyba starczy tym razem. Nam nie wolno milczeć o tym wszystkim, fala niemiecka zawsze przewala się przez Łużyce w stronę Polski. Pamiętajmy wciąż o tym, że na Łużycach siedzą wysiedleni ze Śląska Niemcy, nie ruszają się dalej na Zachód, bo wciąż wierzą, że tu wrócą.

Bilans roczny... Kto ma chęć, niech jeszcze wierzy w Niemców. My nie wierzymy, natomiast z uporem szukać winniśmy polskiej koncepcji co do przyszłości Niemiec koncepcji możliwej do zrealizowania. „Niemcy weszły na drogę demokracji" — oświadczył jeden z dzisiejszych przywódców Niemców. Należy Niemcom surowo zabronić używania takich słów jak demokracja, do której nie dojrzeli i którą noszą w pięcie. (wisz)

Krótkie spięcia

Ostatni numer „Kuźnicy" (22) otwiera wstępny artykuł Kazimierza Brandysa pt. „Na wrocławski zjazd. „Jest to nawiązanie do wspomnień, pierwszych zetknięć z ziemią śląską, w czasie dwudniowej wycieczki Związku Zawodowego Literatów Polskich, z ubiegłej jesieni. Niestety ten krótki pobyt na naszych ziemiach nie pozwolił Brandysowi na wniknięcie w istotne problemy osadnictwa. Trafne obserwacje opatrzył zupełnie fałszywym komentarzem, ulegając rażącym uproszczeniom, zresztą charakterystycznym dla jego środowiska.

Brandys przeciwstawia inż. Z. w mieście N., uporczywie nazywając go „królem szabrowników", biednemu dorożkarzowi. Inżynier ma willę, dywany, radio i wino, wszystko ściągnięte z rozbitych domów miasta N. Dorożkarzowi pozostała bryczka i szkapa przywieziona z Wilna, a zamiast mebli — skrzynki.

Brandys myli się. Inż. Z. mimo, że przez kolegów nazwany jest żartobliwie „królem szabrowników" — w ogóle z tym procederem nie ma nic wspólnego. Nie mówię tu o nim samym, ale jako o przykładzie, o typowym błędzie, właściwie zawistnej ocenie pozytywnego, tak Kolego, pozytywnego dla społeczeństwa i Państwa faktu.

Inż. Z. ma willę i meble i dywany. Stworzył sobie estetyczne otoczenie. Zebrał te meble i na własnych plecach przywlókł do siebie. **Nie wywozi ich nigdzie, zostały spisane przez T. Z. P. pozostają u niego jakby w depozycie, i albo zostaną po otaksowaniu spłacone przez niego, więc staną się jego własnością, albo będzie je dzierżawił.**

Któż osiedla się na Zachodzie? Inż. Z., którego dom uległ zniszczeniu w czasie zdobywania Poznania, spalony i zubożały Warszawiak, któremu dzielnica willowa przypomina Żoliborz, repatriant ze Lwowa i Wilna. Ta willa, te dywany, meble i obrazy (zresztą podłe jak całe współczesne malarstwo niemieckie), o które tak potykają się zawistne oczy przybysza ze środkowej Polski, zwłaszcza tego, dla którego „salon" był szczytem wykwintu, synonimem bogactwa — tworzą miłe otoczenie do pracy i do wypoczynku; powinniśmy się cieszyć, że ta drobna kompensata dostała mu się, za właśnie tak pogardliwie nazywany „trud szabrowniczego bytowania" na tych ziemiach.

Szabrownikiem nie musi być inżynier — jest nim i chłop-osadnik, który wywozi po trochu graty do środkowej Polski, okrada zagrodę. Szabrownikiem jest ten zapobiegliwy urzędnik, nadający na poczcie co dnia pękaty worek z ciuchami, szabrownikiem jest ten członek nieokreślonej Grupy Operacyjnej, zaopatrzony w 100% w papiery z ministerstw, pełne pieczęci, uzyskanych od przyjaciół z departamentów, z którymi wczoraj wypił brudzia.

Kolego Brandys, ten dorożkarz którego z taką lezką wspominacie, jeszcze nie rozejrzał się, albo też skończony niedołęga. Myślę, że na pewno musiał mówić Wam o stanie przejściowym, bo — no nie wytworne komplety, orzech i czeczot — ale zupełnie porządne graty piętrzą się w składach T. Z. P. i nawet każde miasto Śląska wysłało po kilka wagonów mebli do wyniszczonej Warszawy. Na pewno i Wasz dorożkarz dostanie!

Zapamiętajcie sobie, Kolego, że szabrownikiem jest zawsze ten, kto wywozi co kolwiek z tych ziem — od maszyn, po wyroby artystyczne. Paraliżuje przemysł, ogołaca osady.

A inż. Z. **nie wywiózł dotąd nic.**

A może wolelibyście, żeby dorożkarz dostał willę? Widziałem nowoczesne dzielnice willowe, zajęte przez repatriantów, chłopów z tarnopolszczyzny. Widziałem obrazy, którymi zatykali okna, pocięte dywany i skorupy miśnieńskiej porcelany. A w suterynach, gdzie była pralnia stały świnie i krowy. Schody były specjalnie wymoszczone nawozem, żeby zniwelować stopnie.

Ja cieszę się, że to właśnie inż. Z. i jemu podobni dostają wille. On nie zrujnuje jej, no, i na pewno nie wywiezie. A skoro płaci komorne do magistratu, więc o cóż ten lament?

Nie trzeba tu fałszywego sosu klasowego. Zobaczcie chłopów, typowych rezydentów, na których dotąd robili Niemcy. Chłopów, którzy kazali sobie śniadanie do łóżka podawać. Zobaczcie babę, zajeżdżającą na rynek karetą, a tak, karetą z kuczerem w rękawiczkach i z bańami mleka z tyłu. Zobaczcie jak się rozpija osadnik, jak się bawi, ile ciska na muzykę. Powstaje nowe jaśnie państwo. Służba z Niemców, kareta, kuczer, to wszystko wchodzi w cenę masła, która jest wyższa niż w Katowicach, w centrum przemysłowym.

Inż. Z., jak sami przyznajecie, pokochał tę ziemię. Wielu ją pokochało. I ja jestem Ślązakiem nie z urodzenia, ale z wyboru, bo odpowiada mi ten lud pracowity i honorny. Inż. Z. ze swoją celowością, **szacunkiem dla dóbr materialnych,** jest na pewno bliższy Ślązakowi, niż nie jeden z deklamatorów gardłujących o piastowskiej ziemicy.

Jeżeli chcecie poznać prawdziwe bolączki osadnicze, przyjedźcie do nas, poprowadzę Was za rączkę. Albo poczytajcie sobie prasę śląską, choć by tę „Odrę".

Rozumiem Was, chcieliście jak najlepiej wykorzystać szczupły materiał wspomnieniowy, pisaliście w dobrej intencji, tylko mylnie. Dziwię się natomiast „Kuźnicy", właśnie ostrożnemu kol. Żółkiewskiemu, że puścił taki artykuł na „Dni Wrocławskie", które mają być rocznym bilansem naszego dorobku materialnego i wiedzy o Śląsku. Przykro mi, ale muszę was odesłać do tygodnika „Dziś i Jutro", który zamieszcza stale rzetelne informacje z Ziem Odzyskanych, choćby dla przykładu ostatnio drukowany cykl Paukszty.

W. Ż.

Korespondencja

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Od początku śledzę „Odrę" z wielkim zainteresowaniem i z jak największą sympatią. Niech mnie to usprawiedliwi, że zebrało mi się na śmiałość, żeby do numeru z 19 maja br. coś „podpowiedzieć":

„List do knajpiarza" jest nie skończony. Wypadałoby go uzupełnić dwoma punktami. 1) Święty Otton Banberski, Apostoł Pomorza Zachodniego, uznawał zwierzchnictwo Krzywoustego: przed misją był u arcybiskupa w Gnieźnie, działał w porozumieniu z dworem polskim. Wracał na Gniezno, chociaż to wcale nie było po drodze. 2) Kazimierz Wielki przeznaczał tron polski dla Kazimierza Szczecińskiego, swego zięcia. **Zmuszony** przyznać następstwo Ludwikowi, testamentem wyznaczał księciu szczecińskiemu niemal pół Polski w lenno...

Jeszcze pozwolę sobie na uwagę co do „niemcoznawstwa". Osadzone na tle historii powszechnej, wymaga studiów nad dwoistością cywilizacyjną Niemiec. Dzieje niemieckie polegają od drugiej połowy X wieku na walce cywilizacji łacińskiej z bizantyńską. Zwyciężyła kultura bizantyńsko-niemiecka. Pierwszy użył wyrażenia „bizantynizm niemiecki" Edgar Quinet. Od roku 1831 pojawiały się jego artykuły o Prusiech w „Revue des deux mondes". Nazwano je później „la prophetie d'Edgar Quinet". W roku 1867 przepowiadał nieuchronne starcie z „niemieckim barbarzyństwem".

Zajmując się nauką o cywilizacji, musiałem też studiować tę kwestię niemiecką. Pisałem o bizantyniźmie niemieckim po raz pierwszy w r. 1927. Obszerne, dwutomowe dzieło o „Cywilizacji Bizantyńskiej" w ogóle, leży w rękopisie i prawdopodobnie nigdy drukiem ogłoszone nie będzie. Miałem już nakładcę; rękopis w Warszawie spłonął; zanim zdołałem sporządzić ze świstków brulionu nowy egzemplarz, nastały trudne stosunki i cała praca przeszło dwudziestoletnia poszła na nic.

Kwintesencja mych studiów w tym, że nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, a mieszanka cywilizacyjna wiedzie do upadku. Niemcy doszli do stanu acywilizacyjnego.

Chciałem zachęcić Szanownych Panów do uprawiania niemcoznastwa i wskazać historyczną ścieżkę w przeszłość. Przepraszam, żem zajął chwilę czasu i łączę najserdeczniejsze życzenia dla całej „Odry" wraz z wyrazami głębokiego poważania.

Feliks Koneczny.

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik" Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik" B 23007